Nr. 45 (1348). Warszawa, 10 Listopada 1906 r. **Rok XXVI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19 Telefonu 7388.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Bunt chłopiąt.

O ile na scenie Europy rozgrywa się jeszcze tragedya narodów, pozostał na niej tylko jeden bohater — naród polski. Wszystkie inne skończyły dawno historyę swego męczeństwa. Gwałt torturuje, a zbrodnia zabija dalej osoby, grupy społeczne, ale żaden lud wielomilionowy, zwłaszcza taki, który przeszedł w niepodległości długą drogę dziejową, już nie jest ofiarą dzikiej przemocy — oprócz nas. Ostatnią sceną naszej tragedyi jest bunt dzieci polskich w szkołach poznańskich przeciwko niemieckiej nauce religii i barbarzyńskie nad niemi znęcanie się tyranii pruskiej. Scena ta ma swoją podwójną wymowę: okazuje ona bowiem bezmierne upodlenie moralne urzędowych stróżów moralności w świecie cywilizowanym i odpływ siły życia w naszem społeczeństwie od tych jego organów, które szczyciły się zawsze wyłącznem jej posiadaniem.

Jeżeli cała dzisiejsza polityka państw zwanych kulturalnemi jest świętobliwą obłudą, bezczelnem oszustwem i uprawnionym rozbojem, to najwyższy szczebel na tej drabinie zniikczemnienia zajmują Prusy. Niema łotrostwa, którego by one nie popełniły „w imię prawa" i „religii", a nigdy nauka Chrystusa i moralność, dostarczające im płaszczów dla pokrycia zbrodni, nie były bardziej zbezczeszczone i niecniej wyzyskane. Czas nie strawił w swych przetwarzających prądach krzyżackiego gniazda: dochowało się ono takiem, jakiem było przed wiekami: zdradzieckie, podłe, żarłoczne, nienasycone, cudzą krzywdą żyjące. Prusak, nie jest nazwą narodową, lecz nazwą gatunku ludzkiego, który czasowo rozpostarł się w jednem miejscu, ale występuje na całej kuli ziemskiej, jako wcielenie ogołoconego z uczuć moralnych brutalstwa. Państwo „bojaźni bożej i dobrych obyczajów" posiada konstytucyę, która jest systematem kajdan i maczug. W tej konstytucyi istnieje na papierze wieloraka wolność, która wszakże zabrania polskim dzieciom uczyć się w szkole pacierza w ojczystym języku. A jak ten zakaz jest oburzającym, świadczy fakt, że dziesiątki tysięcy owych dzieci, przez nikogo niezachęconych, z własnej woli, pod natchnieniem własnego gniewu i zgrozy oparły się przymusowi odmawiania pacierza po niemiecku. Rząd, którego jedyną ambicyę stanowi to, ażeby być „nieugiętym", zastosował do zrozpaczonego drobiazgu polskiego wszystkie „dopuszczalne przez prawo" środki kary i zemsty: chłostę, areszty, skazywanie rodziców na grzywny i t. d. Mimo to mali bohaterowie nie ugięli się: znoszą okaleczenia rąk liniami przez nauczycieli, kopanie, głód w kozie, często nie zasłaniają się nawet rozkazem rodziców, po wycierpieniu kar gromadzą się w kościołach lub na cmentarzach, tam śpiewają religijne pieśni polskie, miewają do siebie mowy, a zdarzało się, że mówcą był chłopiec, umiejący tylko po niemiecku, którego rodzicom rząd pruski wydarł słowa ojczyste, a w ich dziecku obudził duszę polską. Wspaniały, rozrzewniający i wstrząsający widok!

Kto są ci młodzi męczennicy? Naturalnie chłopięta, synowie i córki ludu, który jedynie mógł się zdobyć na taką moc, odwagę i wytrwałość. Jakże w tej walce zachowują się jego „naturalni przewodnicy", którzy w spadku historycznym odziedziczyli posłannictwo i powinność obrony praw narodowych? Wszystkie wielkie dzwony wygłosiły już chwałę arcybiskupa poznańskiego, który miał pobłogosławić młodzintkich bojowników. Ta sława i wdzięczność, jaką mu wyrażono za „czyn śmiały", te zachwytne nad nim uniesienia przekonywają, jak owce polskie mało wymagają od swych pasterzy. Ks. Stablewski w przemowie do deputacyi wyraźnie oświadczył, że „tutaj nie chodzi o *żadne względy światowe,* ale *jedynie* o kościół, wiarę i zbawienie dusz" — a zatem nie chodziło mu także o interes narodowy. Jego „bóle w bezsennych nocach" nie płynęły z tego źródła i nie pobudziły go wcale do ciśnięcia gromowego słowa na gwałcicieli. Bo czegóż on żąda—jak się wyraża *Gazeta polska*—w swem „epokowem orędziu"? Oporu, walki? Bynajmniej. „Nie pozostaje nam teraz,—mówi—jak abyśmy złączeni we wspólnej boleści serca *uzupełniali szkolną naukę religii* domową i kościelną nauką". To jest cała fronda arcybiskupa przeciwko rządowi pruskiemu, to jest cała jego zasługa i „epokowość". A jakże sobie poczęli panowie, „starsi bracia"? Naturalnie przedewszystkiem posłali do ministra oświaty telegram, jeden z tych niezliczonych telegramów nieuleczalnej, nałogowo lojalnej czeredy, które zawsze osiągają ten sam skutek—ministeryalnie wzgardliwe kopnięcie autorów depeszy, niezniechęcające ich wszakże nigdy do ponawiania podobnych usiłowań. Następnie zwołano kilka wieców, rozpędzonych natychmiast po rozpoczęciu. Wreszcie, za pomocą prasy wyrażono dzieciom i ich rodzicom współczucie, otuchę i obietnicę, że „ojciec św. prawdopodobnie będzie się starał wpływać łagodząco na *zbyt naprężone* namiętności Polaków wielkopolskich" i „*nie potępi* dzieci". Nadto pewien Stańczyk palcem w bia-

łej rękawiczce pogroził leciuchno rządowi pruskiemu, że „Polacy nawet politycznie najwytrawniejsi (to znaczy: najbardziej politycznie zlokalizowani) nie będą mogli nadal, gdzie tylko przyjdzie im głos zabierać lub gdziekolwiek głos ich zauważyć może (w Austryi), nie liczyć się z uciskiem w W. Ks. Poznańskiem i niezawodnie zaważy on ciężko w ich postanowieniach i postępowaniu". Przypuszczamy, że ks. Bulow niezbyt zląkł się tych patryotów polskich w Austryi z ważkim głosem, którzy zatwierdzając ciągle trójprzymierze, dotychczas nie znaleźli w polityce pruskiej powodów do nieprzyjaznego przeciw niej wystąpienia i dopiero zbuntowane w szkole chłopięta natchnęły ich groźną energią. Wszystkie te środki i zabiegi nie usunęły jednej ważnej troski panów poznańskich, powierzonej pewnemu korespondentowi tutejszej gazety, mianowicie: czy lud, biedny lud wytrwa pod ciosami kar pieniężnych, które rząd na niego nakłada za opór dzieci? Drżące w tej obawie serca znalazłyby niewątpliwe uspokojenie, gdyby bogaci patronowie tego ludu zechcieli za niego pokryć grzywny, które w całej swej wysokości nie przeniosłyby prawdopodobnie kosztów jednego przyzwoitego polowania; ale ta myśl dotąd jeszcze nie trafiła do głów zafrasowanych.

Walka tedy chłopiąt polskich w szkole pruskiej toczy się o własnych siłach 70,000 dzieci, które do niej wnoszą swoje męstwo, i ich rodziców z ludu, który do niej wnosi swoje materyalne ofiary. Jeśli ta walka nie skończy się zwycięztwem tytaniąt, to już nie same Prusy, ale Europa, której zbrukany płaszcz trudno pokryć jakąś zaćmiewającą inne plamą, zbogaci swoje dzieje niezwykłą sromotą. A chociaż ciężkim będzie koszt przegranej, wynagrodzi go wiara, że z tego pokolenia wyrosną dzielni ludzie i piękni Polacy.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Wyraźna dążność biurokracyi do zamknięcia Dumy przed żywiołami reformatorskimi, sofistyczne wykręcenie ordynacyi wyborczej na niekorzyść ludu roboczego uzasadniają możliwość dalszych w tym kierunku „wyjaśnień" Senatu i ograniczeń. To też trudno dziś przewidzieć, w jakich warunkach i z jaką nadzieją dla pierwistków demokratyczno-postępowych odbędą się nowe wybory.

W każdym razie powinniśmy do nich zbliżyć się, uzbrojeni we wszystkie możliwe prawa i środki, które są potrzebne w walce. Zanim właściwa pora nakaże nam określić sobie taktykę i cel kampanii, musimy dziś zabezpieczyć swoje prawa wyborcze przed naznaczonym terminem.

Niech wszyscy nasi przyjaciele polityczni dokonają tego i ustrzegą się grzechu niedbalstwa, niech również nie poskąpią trudu dla pobudzenia opieszałych i uświadomienia nierozumiejących swego obowiązku. Demokracya Polska jest nieliczna i z wielu stron atakowana, musi więc uruchomić wszystkie swoje siły.

Warszawa, d. 7 listopada 1906 r.

Związek Postępowo-Demokratyczny.

Dom Polski w Moskwie.

Dnia 3 listopada otwarty został w Moskwie Dom Polski, zawierający bibliotekę z czytelnią bezpłatną, oraz salę na kilkaset osób, przeznaczoną na zebrania, zabawy, odczyty, widowiska, a w przyszłości—na kursy wykładów popularnych dla szerokiego ogółu, ze szczególnem uwzględnieniem umysłowych potrzeb klasy pracującej. Dom Polski wzniesiony został ze środków, złożonych przez zmarłego generała, Alfonsa Szaniawskiego, z pochodzenia—Polaka, wychowanego jednak po rosyjsku, ożenionego z Rosyanką. Będąc najmłodszą instytucyą Towarzystwa Dobroczynności w Moskwie, które stworzyło już zakłady i organizacye wielkiej wagi społecznej, Dom Polski ma podwójne dla kolonii Polskiej w Moskwie znaczenie: jako zaczątek uniwersytetu ludowego i jako trybuna polityczno-społeczna. Wobec szczególnych warunków życia kolonii polskiej na obczyznie, wszystkie arterye myśli i dążeń, krążących w organizmie tej nostalgicznej istoty zbiorowej, siłą rzeczy koniecznych muszą się skupiać w jedynym ośrodku, w którym mogą znaleźć wyraz zewnętrzy dla wewnętrznego swego napięcia. Tym ośrodkiem jest Towarzystwo Dobroczynności, którego rozkwit właściwy i szczersza demokratyzacya datuje się od czasu, gdy prezesem obrany został Aleksander Lednicki.

Dziś Towarzystwo Dobroczynności w Moskwie posiada ochronę dla dziewcząt, mieszczącą (w lokalu własnym) 45 przeważnie sierot, w wieku od lat 3 do 14. Zakład prowadzony jest wzorowo pod każdym względem. W mieszkaniu panuje czystość i ład; wychowanki oprócz nauki początkowej, przechodzą kurs szycia i robót pończoszniczych. Można powiedzieć bez przesady, że zakład wyrywa corocznie kilkadziesiąt istot — nędzy i rozpuście. W najbliższej przyszłości powstanie podobna ochrona dla chłopców. Towarzystwo zorganizowało „komisyę dla dostarczania pracy". Corocznie kilkaset osób przy pomocy tej instytucyi otrzymuje zajęcie. Organizacya wielkiego znaczenia było ambulatoryum bezpłatne, powstałe przed kilku laty dzięki ofiarności społecznej grona lekarzy. Ale w roku zeszłym, z powodu zupełnego wyczerpania środków, ambulatoryum zostało czasowo zwinięte. Powstaje zaś, z inicyatywy Aleksandra Lednickiego, bezpłatna pomoc prawna. Biblioteka polska liczy dziś przeszło 6 tysięcy tomów i zaspakaja potrzeby umysłowe przeszło tysiąca ludzi, przeważnie robotników i żołnierzy. Gdyby Polskę podzielić na grupy o rozmiarach kolonii polskiej w Moskwie, liczącej kilkanaście tysięcy ludzi, i gdyby każda z tych grup wyłoniła z siebie tylko tyle instytucyj społecznych, kraj nasz przybrałby inny wyraz kulturalny.

Otwarcie Domu Polskiego miało cechę

20)

W. Władimirow.

Wyprawy karne.

(przekład z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy).

Bunin prędko się ubrał i pod konwojem żołnierzy zaprowadzony został na stacyę. Upłynęło trochę czasu, gdy również pod konwojem przyprowadzono zawiadowcę stacyi Winogradowa. Kazano im iść dalej do przejazdu, na tory zapasowe. Szli najzupełniej przekonani, że wsadzą ich do wagonu i zawiozą do Moskwy na śledtwo. Kiedy doszli do przejazdu, pułkownik Riman kazał im skręcić na prawo i podążyć drogą, prowadzącą do lasu. Skierowali się tam wolnym krokiem; naprzód szedł Bunin, potem Winogradow. Rozległa się salwa bez komendy, i obaj runęli na śnieg, nawet na sekundę przed tem nie spodziewając się takiego końca.

Następnie dano do nich parę pojedyńczych strzałów, ale już byli martwi.

Bunin nie miał żadnej broni; rewizyi u obu w mieszkaniu nie robiono. W tym samym czasie, gdy jedni żołnierze naglili do prędkiego ubierania się Winogradowa i Bunina, drudzy pod dowództwem oficera udali się do biura pocztowego, maleńkiego oddzielnego budynku, stojącego w pobliżu stacyi. Tam pracował urzędnik pocztowy, Aleksy Fadiejew, syn Jeremiasza.

Kiedy wszedł oficer i ujrzał Fadiejewa, zapytał:

— „Czy pan jesteś Aleksy Jeremiejew, urzędnik tutejszego biura pocztowego?"

Fadiejew w tej chwili zmiarkował, a co chodzi, i rzecze:

— „Nie, ja nie jestem Jeremiejew, jestem Fadiejew".

Pominął milczeniem to, że oficer się omylił i wziął imię jego ojca za jego nazwisko. Wtedy oficer wyszedł, pozostawiwszy go w spokoju. Fadiejew powinien był pozostać w biurze i nigdzie nie wychodzić, a tymczasem on poszedł do przejazdu i skręcił na lewo w tej właśnie chwili, kiedy Riman wracał do tegoż przejazdu po zabiciu Bunina i Winogradowa.

Któryś ze stojących tu szpiegów zbliżył się do oficera i rzekł, wskazując na Fadiejewa: Dlaczegoście tego nie zabili? To tutejszy mówca!" Wtedy oficer, nie sprawdziwszy ani kto on taki, ani co on zrobił, widząc tylko grzbiet idącego i mając jedynie gołosłowne zapewnienie szpiega, że ten jest mówcą, rozkazał żołnierzom strzelić.

Fadiejew padł od razu trupem, tak że nie potrzeba było nawet marnować nabojów na dobijanie go.

Potem natychmiast wszyscy żołnierze i oficerowie odjechali pociągiem w stronę Moskwy.

Cała ta rozprawa zajęła oddziałowi zaledwie 20 minut czasu.

Po długich prośbach i płaczu udało się wdowie Winogradowowej wyprosić u „uriadnika" pozwolenie na pochowanie zwłok męża. Pozwolił, ale z warunkiem, aby pogrzeb odbył się w ciągu dwóch godzin. Dlatego też nie mogli na ten smutny obrządek przyjechać starzy Winogradowowie i nie pożegnali się z synem.

Ażeby czytelnik nie miał żadnej wątpliwości co do najdrobniejszej bodaj winy niektórych osób, skazanych bez sądu na śmierć

uroczystości narodowej. Zaproszeni przedstawiciele rozrzuconych po całem Państwie oaz polskich (z Samary, Kiszyniowa, Witebska, Rostowa nad Donem), przedstawiciel mieszkających w Moskwie Litwinów, łączyli głosy swoje wrazz miejscowymi mówcami, głosy wyrażające wspólne wszystkim dążenie ku łącznej, zgodnej, a przedewszystkiem szczerze demokratycznej pracy nad tworzeniem instytucyi dla ludu, czy to na kresach, czy w ojczyźnie. Podniesioną została sprawa Towarzystwa „Kultury", które ma na celu taką pracę dla całego narodu. Lednicki porywał ogniem i miłością słów, głoszących z powagą ewangeliczną wysokość i czystość godeł polskich na kresach, gdzie pustka obcego otoczenia z zewnątrz, a żrąca tęsknota z wewnątrz wytapia z duszy wygnańca, jak z rudy szczerych gór, szlachetne metale miłości i ofiary.

M. W.

Sprawa Rady Delegatów robotniczych.

Dnia 2 października w petersburskiej izbie sądowej rozpoczął się proces Rady delegatów robotniczych, oskarżonej „o cele wywrotowe i dążenie do ustanowienia rzeczypospolitej demokratycznej; o zbieranie na ten cel składek; drukowanie przemocą *Wiadomości Rady* deputatów robotniczych, rozdawanie robotnikom broni it.d... a nakoniec o wydanie w dniu 15 grudnia 1905 r. znanego manifestu w celu poderwania kredytu państwowego".

Na ławie oskarżonych zasiadło 28 osób zamiast 52; z nieobecnych jeden nie stawił się wskutek tego, że był rozstrzelany w Kronsztadzie. Gdy na zapytanie adwokata prezes oznajmił o tem głośno, wszyscy podsądni, obrońcy i publiczność powstali w milczeniu, podnieśli się również i żandarmi, nie domyślając się, o co tamtym chodziło.

Świadków wezwano 350, z tych tylko 100 się stawiło; pomimo to izba sądowa uchwaliła prowadzenie procesu.

Ponieważ obawiano się demonstracyi, wnętrza gmachu sądowego strzegły dwie roty siemionowców. W korytarzu na ławkach usadowiono policyantów, u wązkiego przejścia postawiono z nich kilkunastu co najtęższych, którzy kontrolowali wchodzących na salę.

Wpuszczano jedynie za biletami, a tych rozdano niewiele i to nie wszystkim oskarżonym. Ci, którym ich udzielono, otrzymali po jednym dla jednego tylko członka swej rodziny.

Okolicę gmachu, gdzie zasiadał sąd, otoczono patrolami konnej żandarmeryi i policyi.

Przy stole, przeznaczonym dla prasy, między innymi zasiadło kilku korespondentów zagranicznych.

Na salę pod eskortą żandarmów wprowadzano zawsze najpierw Chrustalewa-Nosara, a następnie także osobno Bronsteina-Trockiego, resztę więźniów razem. Publiczność i obrona witała ich milczącem powstaniem z miejsc.

Podsądnym z rozpoczęciem procesu odebrano prawo naradzania się wspólnego z obrońcami, choć ci bronili ich wszystkich razem. Cofnięto im również pozwolenie wspólnej przechadzki.

Po ukończeniu wstępnych formalności z pośród oskarzonych podniósł się Piotr Złydniew i oświadczył w imieniu ich wszystkich, że nie uznają kompetencyi Izby, a w sądzie uczestniczą dlatego tylko, a żeby publicznie wykazać całą działalność Rady delegatów robotniczych.

Gdy po przeczytaniu aktu oskarżenia prezes Izby zwrócił się do podsądnych z zapytaniem, czy przyznają się do winy, Chrustalew oświadczył pierwszy, że nie — gdyż cała działalność Rady delegatów robotniczych była przejawem nie woli indywidualnej, lecz konieczności historycznej i politycznej. On, Bronstein-Trocki i inni, przyznając się, że należeli do ros. soc. dem. partyi robotniczej, a nawet do socyalistów rewolucyonistów, stanowczo przeczyli jakiemukolwiek po za tem ze swej strony przewinieniu. Jeden zaś oświadczył, że „poczuwa się do takiej tylko winy, iż jako członek Rady mniej zdziałał, niż był powinien".

Z pośród świadków, niektórzy odmówili zeznań na tej podstawie, że czują się tak samo winni jak oskarżeni; inni odwoływali poprzednie swoje zeznania, oświadczając, że były wymuszone przemocą.

Znaczniejsi z oskarżonych i świadkowie usiłowali dowieść ścisłego związku Rady delegatów z całym ogółem robotniczym w Petersburgu i legalności jej działalności włożonej na nią za zgodą ogólną.

Policya zawsze wiedziała o dniu i godzinie posiedzeń Rady, wiedział o nich doskonale i hr. Witte, który przecież niejednokrotnie przyjmował jej delegatów na posłuchaniu. Miała ona na celu obronę interesów ekonomicznych i politycznych proletaryatu.

Chrustalew-Nosar w dwugodzinnej mowie dał historyę 50-dniowej działalności Rady, zaznaczając przytem, że cały akt oskarżenia jest tylko jednym szeregiem omyłek.

Rada delegatów robotniczych powstała na zebraniu organizacyjnego komitetu robotniczego dn. 26 października w Instytucie technologicznym w Petersburgu. Z początku składało ją 40 robotników, po 50 dniach, w chwili rozbicia liczyła już 556 przedstawicieli 156 fabryk, 30 warsztatów i 16 związków zawodowych. Po 31 października zaczęła organizować samoobronę.

Usiłowała drogą rewolucyjną przeprowadzić 8 godzinny dzień roboczy, przyznaje się do udziału w przeprowadzeniu strajku powszechnego, strajku pocztowo-telegraficznego.

Komitet wykonawczy Rady był niejako ministeryum, którego członkowie nie otrzymywali ani wysokich pensyj, ani krociowych subsydyów. Ale rząd w stosunku do niej podwójną odegrał rolę: na posiedzenia Rady delegatów patrzył przez palce a siłą rozpędzał posiedzenia Związku związków.

Z zeznań następnych świadków wypływało jasno, jakiem zaufaniem cieszyła się Rada w sferach robotniczych. Do niej zwracano się i po wymiar sprawiedliwości, której od biurokracyi nie można było otrzymać, i ze skargami na wyzysk pracodawców; inwalidzi z ostatniej wojny, gminy wiejskie; ze wszystkich krańców Rosyi szły listy adresowane: „Raboczeje prawlenje."

Z zeznań świadków ujawniło się, że myśl uzbrojenia się powstała dopiero po aresztowaniu Chrustalewa. Przez wydanie odezwy pragnęli oni uniemożliwić zaciągnięcie pożyczki zagranicznej. O grożącem delegatom aresztowaniu potem byli uprzedzeni, ale postanowili dać się uwięzić.

Jeden ze współpracowników fabryki Obuchowskiej przedstawił sądowi rezolucyę, podpisaną przez 2000 robotników, w której ci oświadczali, że są o tyle winni, o ile winien jest ich delegat, Złydniew.

Ujawnionem też zostało, że przy zawładnięciu drukarnią *Now. Wrem.* przybyli nie grozili, choć byli uzbrojeni, przy maszynie zaś pracowali pod ich dozorem majstrowie *Now. Wrem.*

Rada, jak dowodził jeden z podsądnych, organizowała masy, lecz nie do zbrojnego powstania. W czasie ostatniego bezrobocia wyrzucono na bruk setki tysięcy robotni-

---

przez oddział siemionowski, powołam się na zdanie miejscowego duchownego w Gołutwinie, ojca Jana Winogradowa, o dwóch ludziach, których dobrze znał, a mianowicie o zawiadowcy stacyi Nadieżinie i jego pomocniku Szełuchinie.

Ojciec Jan jest duchownym w tej parafii od 26 lat i dobrze znał obu tych ludzi. Szełuchina znał od trzech lat, a Nadieżina bardzo dawno, ponieważ ten był urzędnikiem na kolei Moskiewsko Kazańskiej lat 36. Przez tak długi czas wspólnego życia w spokojnej, odosobnionej miejscowości ojciec Winogradow mógł dobrze poznać wszystkie cechy charakteru Nadieżina, jego duszę i serce, wszystkie najdrobniejsze szczegóły jego życia, wszystkie radości i niepowodzenia. Jako duchowny i sympatyzujący z nim, ojciec Jan dzielił jego wesele i smutki. Chrzcił mu dzieci, odprawiał msze i nabożeństwa żałobne. Syn ojca Jana był dawniej podwładnym Nadieżina na tej samej stacyi Gołutwino, i to jeszcze wzmocniło związek między kapłanem a Nadieżinem. Byli wielkimi przyjaciółmi, dobrze się znali i rozumieli wzajemnie.

Kiedym rozmawiał z ojcem Janem i rozpytywałem się o szczegóły zabójstwa syna jego Sergiusza Winogradowa przez pułkownika Rimana na stacyi Asżytkowo, gdzie on był zawiadowcą i o zabójstwach, dokonanych tu na miejscu, w Gołutwinie, odpowiedział mi:

— „Ciężko mi opowiadać o tem, tak ciężko, że pan nie da wiary. Kiedy rano 19 grudnia przybiegł do mnie nadzorca i rzekł: „Ojcze, chodźcie chować!" — „Kogo chować?" — zapytałem.— „Zabitych" — odpowiedział i dodał: „Żołnierze, którzy wczoraj przyjechali, zabili 26 ludzi—zawiadowcę stacyi, pomocnika i wielu innych". „Dopiero, kiedy mi to powiedział, zrozumiałem, jakie to ja wystrzały słyszałem w przeddzień, kiedym w cerkwi skończył nieszpory. Właśnie w tej chwili rozstrzelano tych niewinnych, nieszczęsnych ludzi. Wtedy zrobiło mi się ciężko na duszy i ogarnął mnie strach przed gniewem boskim i grozą ludzką z powodu przelanej, niewinnej krwi. Brak mi słów, by opowiedzieć panu, com przeżył w tej minucie. Powiem tyle, że kiedy nad wieczorem tegoż dnia otrzymałem wiadomość telegraficzną, że tak samo rozstrzelano mego rodzonego, ukochanego syna Sergiusza w Asżytkowie, nie doznałem tak głębokiego wstrząśnienia, ani części tych cierpień i katuszy, które przeżyłem tego ranka, gdym dowiedział się o zabiciu niewinnych Nadieżina i Szełuchina. Wierzaj mi pan, że syn mój rodzony, ukochany był mi na świecie najdroższym, lecz śmierć jego nie wstrząsnęła mną tak silnie, bom słyszał, że on był winnym, jeżeli za winę można uważać należenie do wszechrosyjskiego związku kolejowego. Żałowałem go, cierpiałem nad niepowetowaną stratą, lecz nie byłem tak przybity i zgnębiony tą śmiercią, jak wiadomością o niewinnie zabitych Nadieżynie i Szełuchinie". Po chwili milczenia starzec mówił dalej:

— „Zabili bez sądu, śledztwa, zabili niewinnych ludzi, jak rozbójników w ciągu 2—3 godzin, zabili takich ludzi, za których gotów jestem odpowiadać przed Bogiem, ponieważ w niewinność ich tak wierzę, jak w swoją własną!"

(d. c. n.)

ków; potrzeba było autorytetu i to wywołało powstanie Rady. Wybory do niej, podług zeznań kapitana Szemachowa, naczelnika fabryki Obuchowskiej, odbyły się zupełnie prawidłowo. Ministeryum dobrze wiedziało o istnieniu R. D. R. Robotnicy zaś, jak oświadczył deputat do rządowej fabryki kominów, urządzili strajk w celu zaprotestowania przeciw wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce i sądowi wojennemu nad marynarzami w Kronsztadzie.

Gdy w trakcie procesu obrońcy podsądnych zażądali przyłączenia do sprawy listu byłego dyrektora departamentu policyi Łopuchin do ministra spraw wewnętrznych i powołania go w charakterze świadka w celu dowiedzenia istnienia ruchu pogromowego i organizacyi kontrrewolucyi przez administracyę — a Izba sądowa żądanie to uchyliła, obrona skutkiem tej odmowy, a także całego szeregu poprzednich kwestyj proceduralnych demonstracyjnie opuściła salę. Oskarżeni, pozostający na wolności, zażądali zwrotu kaucyj i uwięzienia. Podsądni zażądali wyprowadzenia z sali. Prokuratorya zgodziła się na uwzględnienie tego życzenia.

Sąd jednak postanowił rozważać sprawę dalej w nieobecności oskarżonych i d. 1 listopada wydał wyrok skazujący: Nosara, Bronsteina, Trockiego, Świerczkowa, Złydniewa, Zborowskiego, Klunjanca, Awksentjewa, Niemcowa, Kisielewicza, dr. Feiga, Reinsteina, Golińskiego, Komara, Szaniawskiego i Simanowskiego—na pozbawienie praw stanu i zesłanie na osiedlenie. Strogowa i Szewczenkę na zamknięcie w twierdzy: pierwszego na $1^1/_2$ roku, drugiego na 8 miesięcy.

Resztę uniewinniono. Proces trwał cały miesiąc.

Listy z Francyi.

Kongres Związków zawodowych (8—13 października).

Zapowiedziany na dzień 8 października r. b. kongres związków zawodowych obudził większe niż zwykle zainteresowanie, z przyczyny postawienia na porządku dziennym kwestyi zawiązania organizacyjnych stosunków pomiędzy Konfederacyą pracy a Zjednoczoną Partyą Socyalistyczną.

Jak wiadomo, robotnicze związki zawodowe we Francyi, zwane syndykatami, aż do r. 1895 były przedmiotem walki różnych frakcyj socyalistycznych, które ubiegały się wszelkimi sposobami o ich pozyskanie, wiedząc, iż położenie pasterzy bez owczarni nie może wzbudzać w przeciwnikach jakiegobądź szacunku. Starali się przeto guesdyści, allemaniści, broussiści wydrzeć sobie wzajemnie ten lub ów związek zawodowy lub założyć nowy, byleby cyfrą zaimponować. Robotnicy jednak w miarę rosnącego uświadomienia zaczęli pojmować całą bezpłodność owych walk zajadłych pomiędzy pokrewnemi sobie stronnictwami i zapragnęli zamiast służyć interesom tej lub owej firmy partyjnej, zacząć działać na własną rękę i bez niczyjej kurateli. Kongres związków zawodowych w Limoges w 1895 r. był pierwszym objawem tego dążenia do samodzielności, tam to bowiem powstała nowa organizacya robotnicza pod nazwą Konfederacyi pracy, która postawiła za zasadę naczelną—niezależność istnienia i działania. Ostatni kongres związków zawodowych w Bourges w 1904 r. był wspaniałem świadectwem rozkwitu tej świadomości i samodzielności, obrady prowadzone były przez robotników z zadziwiającą wprawą i ścisłością, rozpatrzono znaczną ilość kwestyj i wytknięto sobie jasno i wyraziście drogę dalszej pracy, dalszych walk.

Kongres ten miał tak wielką doniosłość, że od tej chwili zaczęto się bacznej przyglądać ruchowi robotniczemu we Francyi, dzienniki wsteczne, zarówno krajowe jak i zagraniczne zaczęły poświęcać Giełdom pracy i Konfederacyi obszerne artykuły, jak gdyby odkryły coś nowego, nieznanego dotychczas. Klasy uprzywilejowane zrozumiały, że mają przed sobą nowego wroga, groźniejszego niż partya socyalistyczna, ta bowiem—w swem dążeniu do zagarnięcia władzy drogą parlamentarną — musi wchodzić w kompromisy z innemi partyami.

Nastąpiła więc też zmiana i w stosunku rządu do Giełd pracy i Konfederacyi: tu i owdzie cofnięto subsydya, narzucono regulamin lub komisyę administracyjną, Giełdy pracy ulegały czasowemu zamknięciu za karę, pociągano ruchliwszych sekretarzy syndykatów do odpowiedzialności sądowej, ścigano broszury i afisze, aż nareszcie wyrzucono z paryskiej Giełdy pracy nietylko redakcyę pisma „La Voix du peuple" ale i samą Konfederacyę pracy.

Tymczasem w obozie socyalistycznym zaczęły się usiłowania połączenia walczących ze sobą frakcyj, zbliżające się wybory nagliły do zgody i porozumienia, w przeciwnym bowiem razie porażka byłaby niewątpliwą. I oto,gdy owo zjednoczenie doprowadzone zostało do skutku i nastąpił obrachunek sił, okazało się, że ani liczebnie, ani finansowo partya socyalistyczna nie jest silną.

Oczywiście nie pozostawało nic innego, jak skorzystać z sytuacyi i zaproponować prześladowanej Konfederacyi przymierze. Niezrównany dyplomata Jaurès zaofiarował jej nawet łamy swego dziennika „Humanité",pozostawiając najzupełniejszą swobodę wypowiadania przekonań całkiem przeciwnych duchowi pisma. A jednocześnie niemal federacya tkaczy z Roubaix, pozostająca od dawna pod wpływem Guesde'a, wystąpiła z propozycyą postawienia na porządku dziennym kongresu Związków zawodowych w Amiens kwestyi organizacyjnego porozumienia pomiędzy Konfederacyą pracy a partyą socyalistyczną.

Samo rzucenie myśli podobnej wywołało wrzawę wśród syndykatów robotniczych, przez ostatnie trzy miesiące polemika na szpaltach „Humanité" i wszystkich niemal organów zawodowych ani na chwilę nie ustawała, wypowiedziano zdaje się wszystkie argumenta za i przeciw ze stron obu w nadziei usunięcia kwestyi z obrad kongresu. A jednak, gdy z kolei spraw na porządek dzienny przyszła, okazało się, że jest ona zbyt ważną, ażeby ją rozwiązać po krótkim namyśle. Dość powiedzieć, że zapisało się do głosu w tej sprawie około 50 uczestników kongresu.

Od pierwszej chwili zarysowały się trzy kierunki: jeden za nawiązaniem stosunków z partyą socyalistyczną, drugi — za zachowaniem niezależności Konfederacyi w imię jej rewolucyjnego programu, trzeci wreszcie za ograniczeniem roli syndykatów do walki codziennej o natychmiastowe reformy. Dla każdego z tych trzech kierunków wyznaczono po trzech przedstawicieli, którzy kolejno zajmowali mównicę. Po długiej, wyczerpującej dyskusyi propozycya tkaczy została odrzucona przez 724 mandaty przeciw 34,—37 od głosowania się powstrzymało.

Socyalistyczni przedstawiciele federacyi tkackiej Renard i Philippe, oraz delegat federacyi ceramicznej Parvy nadaremnie starali się dowieść wyższości zgrupowania politycznego nad zawodowem, pragnąc zgodnie z poglądami Guesde'a wyznaczyć syndykatom rolę wyłącznie obrony fachowych interesów i drobnej, codziennej utarczki z pracodawcami, a zachowując dyrektywę działania i programów dalszych partyi socyalistycznej. Prawica związków zawodowych, reformiści przez usta swych przedstawicieli Coupat, Doizié i Keufer a dowodzili, że Konfederacya stać powinna na stanowisku absolutnej neutralności nietylko pod względem politycznym, ale filozoficznym, sprzeciwiali się przeto zarówno propagandzie antimilitarystycznej i antipatryotycznej, jak i wejściu w stałe stosunki z partyą, której program i taktyka nie jest wyrazem dążeń ogółu robotników. Wreszcie syndykaliści,przedstawiciele Konfederacyi—Brontchoux, Merrheim i Latapie wykazywali, że zadaniem syndykatów jest walka z kapitałem i z tem wszystkiem, co stanowi podporę ustroju kapitalistycznego, a więc z całym uciskiem zarówno politycznym jak religijnym, muszą przeto zwalczać rezygnacyę, która jest podstawą wszystkich religij, jak również militaryzm, który jest największą przeszkodą.

Na zakończenie dyskusyi sekretarz Konfederacyi Griffuelhes odczytał rezolucyę, zawierającą definicyę syndykalizmu i uznającą, że jest on partyą samodzielną, rewolucyjną i sobie wystarczającą. Ze względu na jej doniosłość, musimy ją przytoczyć: „XV-y Kongres w Amiens utwierdza art. 2 Statutów Konfederacyi, brzmiący jak następuje:

§ 2. Konfederacya jednoczy po za wszelką szkołą polityczną wszystkich pracowników świadomych walki, którą mają prowadzić w celu zniesienia pracy najemnej.

Deklaracyę tą uważa jako uznanie walki klasowej na gruncie ekonomicznym przeciw wszystkim formom wyzysku i ucisku zarówno materyalnego jak i moralnego, a mianowicie:

Syndykalizm dąży do skoordynowania wysiłków robotniczych, do polepszenia ich doli przez wywalczenie reform natychmiastowych, jak skrócenie dnia roboczego, powiększenie płacy i t. p. Ale zadanie to uważa za jedną tylko stronę działalności: przygotowuje on wyzwolenie całkowite, które nie może być dokonane inaczej, jak przez wywłaszczenie kapitalistów. Zaleca on jako środek akcyi strajk powszechny i uważa, że syndykat będący obecnie zrzeszeniem oporu, stanie się w przyszłości stowarzyszeniem dla produkcyi i wymiany — podstawą reorganizacyi społecznej. To podwójne zadanie — na chwilę obecną i na przyszłość—obowiązuje pracowników—bez względu na ich przekonania polityczne czy filozoficzne— do należenia do syndykatu, który jest istotnem i jedynem zgrupowaniem klasowem.

Wynika ztąd, że kongres przyznaje każdemu członkowi syndykatu najzupełniejszą swobodę należenia, po za związkiem zawodowym, do takiej organizacyi politycznej, która najlepiej odpowiada jego przekonaniom, pod warunkiem, aby swych zapatrywań nie starał się szerzyć w łonie syndykatu. Co zaś do organizacyi, to kongres wyraża, iż syndykalizm stać powinien na gruncie ekonomicznym, występując wprost przeciw klasie posiadającej, a nie troszcząc się o sekty i partye, które w ten lub inny sposób dążą do zmiany ustroju społecznego".

Tak więc związki robotnicze ocaliły raz jeszcze swą niezależność i swobodny rozwój.

Drugą kwestyą, rozpatrywaną przez ogół członków kongresu, była kwestya propagandy antimilitarnej i stanowiska robotników w razie wojny. Na wniosek sekretarza federacyi Giełd pracy Yvetot'a kongres przyznał konieczność prowadzenia coraz silniejszej i śmielszej propagandy antimilitarnej i antipatryotycznej.

Inne kwestye rozpatrywane były przez komisye, a jedynie wnioski przychodziły pod głosowanie na posiedzeniach plenarnych, jak kwestye organizacyjne, modyfikacye statutów, stosunek kooperatyw do

syndykatów, 8-io godzinny dzień pracy, minimum płacy, odpoczynek niedzielny, praca akordowa, zniesienie trucizn zawodowych, inspekcya przemysłowa i t. p.

W kwestyi 8-io godzinnego dnia roboczego postanowiono w dalszym ciągu prowadzić propagandę, co będzie zadaniem specyalnej komisyi, wybranej z łona zarządu Konfederacyi. Kongres, przechylając się do zdania Pouget'a, redaktora „La Voix du peuple", wyraził się za koniecznością oznaczenia z góry daty, w której proletaryat opuści wszędzie fabryki i warsztaty dla solidarnego wyrażenia swych żądań. Dzień 1 maja odpowiada najlepiej temu celowi, byleby nadać mu właściwy charakter i prawdziwe znaczenie dnia proletaryackiego, potężnej, imponującej manifestacyi antikapitalistycznej, a nie święta robotniczego. Niezależnie od tego kongres zaleca wszystkim korporacyom prowadzenie czynnej akcyi, mającej zawsze na widoku plan następujący:

1) Strajki ogólne korporacyjne, które są niejako manewrami garnizonu.

2) Zawieszenie pracy wszędzie w dniu oznaczonym—niby „wielkie manewry".

3) Zawieszenie pracy ogólne i zupełne, mające charakter otwartej wojny z kapitalistycznem społeczeństwem.

4) Strajk powszechny—rewolucya.

Na cele tej propagandy wszystkie organizacye, należące do Konfederacyi, mają się obłożyć specyalnym podatkiem.

Niemniej ciekawą i ważną była część obrad kongresowych, poświęconych dyskusyi nad sprawozdaniami za czas ubiegły od ostatniego kongresu w Bourges, a więc za dwa lata. W doskonałem opracowaniu Griffuelhes'a (sekcya federacyi), Yvetot'a (sekcya giełd pracy), Levy'ego (skarbnika) i Pouget'a (redaktora organu Konfederacyi „La Voix du peuple") dają one całokształt życia związków zawodowych francuskich.

W raporcie Griffuelhes'a na zaznaczenie zasługuje ustęp, dotyczący stosunków międzynarodowych pomiędzy związkami zawodowymi, wywołał on żywą i interesującą dyskusyę. Jak wiadomo, w r. 1902 w Stuttgarcie zawiązany został międzynarodowy Komitet związków zawodowych, mający za zadanie ułatwić porozumienie pomiędzy robotnikami różnych narodowości.

Na następnym kongresie międzynarodowym w Dublinie w 1904, francuska Konfederacya pracy wydelegowała Griffuelhes'a i Yvetot'a z poleceniem złożenia raportu o kwestyach strajku powszechnego i antimilitarnej propagandy. Sprawy te jednak na porządku dziennym obrad nie zostały postawione, a odnośne referaty, drukowane w trzech językach: angielskim, francuskim i niemieckim, nie zostały nawet rozdane uczestnikom. Wreszcie na zeszłorocznym kongresie związków zawodowych w Amsterdamie zgłoszenie deklaracyi delegata francuskiego Pouget'a, żądającego ponownie rozpatrzen'a obu powyższych kwestyi, spotkało się z odmową Legiena, głównego organizatora i sekretarza kongresu.

W obec tego, Konfederacya pracy zdecydowała w owych międzynarodowych zjazdach udziału nie brać, aż do chwili, gdy obie kwestye zostaną włączone do porządku dziennego obrad. Rezolucya ta przyjęta została jednogłośnie przez kongres w Amiens.

Dopełniającym przyczynkiem do charakterystyki związków zawodowych niemieckich była podróż Griffuelhes'a do Berlina, przedsięwzięta w styczniu r. b., w chwili gdy z powodu sprawy marokańskiej wybuch wojny zdawał się nader bliskim i prawdopodobnym. Griffuelhes wydelegowany został przez Konfederacyę Pracy, aby wejść z Niemcami w porozumienie co do ewentualnego urządzenia w Paryżu i Berlinie wielkich manifestacyi przeciw wojnie. Propozycya ta jednakże okazania istotnej solidarności międzynarodowej spotkała się z formalną odmową Komisyi zawodowej niemieckiej, która żadnej inicyatywy przyjmować nie zwykła bez zezwolenia partyi socyal-demokratycznej, a ta znowu traktować nie chciała z przedstawicielem związków zawodowych francuskich, uznając jedynie powagę partyi socyalistycznej francuskiej.

Fakt ten znamienny przejdzie do historyi jako wymowny dowód różnicy, jaka zachodzi w uświadomieniu związków zawodowych niemieckich i francuskich.

Iza Zielińska.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Po roku.

Do książek, które na mój umysł wywarły głęboki wpływ i nadały mu kierunek, należała rozprawa Milla *O wolności*. Poznałem ją młodym chłopcem po powstaniu 1863 r., w epoce, kiedy swoboda pozostała u nas tylko jako nieużywany wyraz w słowniku, a czytałem ją tak, jak nędzarz czyta bajki wschodnie o zaklętych skarbach i czarodziejskich pieczarach, wyłożonych najcenniejszymi klejnotami. Nie wierzy im, ale karmi nimi myśl zbiedzoną w rzeczywistości, sprawia sobie tę ulgę, którą życie daje jako ostatni ratunek najnieszczęśliwszym ze swych ofiar — pozwala im marzyć. A zupełna, tylko cudzem dobrem ograniczona wolność była wtedy chyba najfantastyczniejszem marzeniem. To szczególne i straszne uczucie, którego doznają skazańcy „pozbawieni wszystkich praw", rozpościerało swoje śmiertelne dreszcze po całem społeczeństwie. Każdy żył a właściwie czekał swojej kolei pod rozciągniętą od brzega do brzega kraju szubienicą w tem przekonaniu, że nie posiada bezwzględnie żadnego prawa, któregoby mu nie mógł odjąć pierwszy lepszy policyant, pierwszy lepszy żołnierz, wreszcie jakiś *skrj* lub *ów*, a jeżeli zachowywał w tem bezprawiu coś, czego mu nie odebrała samowola, to tylko dlatego, że zapomniała lub nie dostrzegła. Mieszkańcy Królestwa polskiego mieli świadomość nie mniejszej bezsilności i utraty praw człowieczych, niż katorżnicy Sachalinu i Kary. Na nas powtórzyła się literalnie historya helotów: nie było bowiem tak małego Rosyanina, którvby nie mógł bezkarnie sponiewierać największego z Polaków. I tym niewolnikom dostawała się do rąk książka, w której czytali: „Gdyby cała ludzkość mniej jednego człowieka miała jakąś opinię i tylko ten jeden człowiek by jej przeczył, to ludzkość nie miałaby więcej prawa zmuszać go do milczenia, niż on do zamknięcia jej ust, jeśliby miał siłę po temu!" Co się musiało dziać w duszach naszych, gdy w ich ciemnię wpadały te błyskawice!

Nie wyobrażała sobie tego najzuchwalsza imaginacya, więc i ja nie przypuszczałem, że za mojego życia będzie wolno w państwie rosyjskiem głośno myśleć i chcieć. Sądziłem, że współczesne pokolenia położą się do grobu w kajdanach i że w ich źrenicy pod zamkniętą powieką nie zastygnie najsłabsza iskierka nadziei. I oto nagle przez posępne niebo świata niewoli i niedoli, rozdzierając jego chmury, przeleciał meteor październikowego Manifestu konstytucyjnego. W tej strasznej głuszy, której złowrogą ciszę przerywały tylko brzęki łańcuchów, świsty nahajek, jęki bólów i straszne słowa zakazów, zagrzmiał piorun, który zdruzgotał okowy zimy i otworzył naoścież wrota życiu wiosny. Naród będzie sam swoim ustawodawcą i rządcą, każdy otrzyma pełnię praw obywatelskich — tych słów nie wypowiedział nigdy w dziejach odrazu żaden samowładca a ściany Rosyi zadrżały ze zdumienia i trwogi, gdy o nie odbiło się echo wstrząsającej zapowiedzi. Teoretycznie sądząc, należało mniemać, że wielkiem i zwartem kołem otoczą tę rosyjską „Wielką kartę swobód" wszystkie żywioły radykalne, które obejmą nad nią straż i czuwać będą, ażeby nie zginęła i niezostała rozkradziona, lecz zachowana i wykonana, że one utworzą ogromne stronnictwo „październikowców". Stało się całkiem inaczej: rewolucyę z góry odparła dalej sięgającym buntem rewolucya z dołu, „październikowcami" zaś przezwali się dusiciele nowo narodzonej konstytucyi z prawego krańca. A my?

Ktoś wyraził się na pewnem zebraniu przed kilknastu laty, że gdyby nam dano Plac Zielony w Warszawie i pozwolono na nim urządzić się z zupełną swobodą, mielibyśmy na tem kawałeczku wolnej ziemi potężną twierdzę narodowości i kultury. Manifest konstytucyjny wylał z dusz naszych tę skromność do ostatniej kropli i napełnił je rozpaloną lawą. Może wraz ze mną przypominacie sobie wiece przedroczne... Byłem tylko na dwóch, które urządziła Demokracya postępowa i nie zapomnę ich nigdy. Zdawało mi się, że będą to wspaniałe nabożeństwa wolności, tej wolności, w którą nikt z nas żyjących objawioną na naszej nieszczęśliwej ziemi nie wierzył, a która na nią zstąpiła. Wchodzimy do nabitej tłumem sali Filharmonii z sercami nabrzmiałymi zachwytem i radosną nadzieją, że my dzieci niewolników, po raz pierwszy od stu lat będziemy mogli odpieczętowanemi ustami przemawiać do tej kipiącej zapałem rzeszy jak wolni do wolnych. Ale nie zdążyliśmy ich jeszcze otworzyć, kiedy powitała nas jakaś piekielna fanfara—dzikie wycie, wrzaski, złorzeczenia... Daremnie jakiś młodzieniec z ochrypłym od przekrzykiwania wiecowych zgiełków głosem probował uciszyć „towarzyszów i towarzyszki". Nawet burze, w których ryczą nierozumne wichry i uderzają ślepe pioruny, nie wydały mi się nigdy tak bezmyślnemi, jak ta, która rozszalała wokoło nas. Nie pojmowałem bowiem ani jej przyczyny, ani celu. Nareszcie pozwolono nam mówić. Pomimo że nikt z nas nie rzekł jednego słowa, któreby nie było czcią dla wolności i serdecznem pozdrowieniem dla ludu, po każdem przemówieniu wybuchały nanowo krzyki i złorzeczenia. Wkońcu odebrano nam głos zupełnie i na katedrę zaczęli wdzierać się ludzie, którzy wymyślali wszystkiemu i wszystkim oprócz siebie: w nieprzerwanym ciągu rządowi, biurokracyi, tyranom, burżujom, liberałom, patryotom, demokratom wszelkich odmian, a zwłaszcza postępowym, którzy byli gospodarzami tego zebrania. Co to było? — zapytałem wychodząc kogoś, kto mógł mi dać należytą odpowiedź, gdyż uważał się za szambelana proletaryatu.—„Była to — odrzekł — zwyczajna rewolucyjna zabawa ludowa, którą panowie niepotrzebnie mąciliście swojemi akademicko-radykalnemi kazaniami. Co zaś do wrzasków, to Socyalna Demokracya rozsadziła po sali i galeryach swoją brygadę specyalnych krzykaczów, tworzących t. zw. głos ludu, ażeby was zagłuszyć kocią muzyką i waszym kosztem wyprawić sobie uciechę. Trudno, panie, teraz nie tworzą się reguły salonu, lecz prawa wolności".

Wolności?

W jakiś czas odbył się drugi wiec Demokracyi postępowej, na którym już nie było „głosów ludu", ale zaproszeni jako goście jego burżujscy dworacy nakłamali i nawymyślali nam, ile wlazło, w imieniu świętego

proletaryatu, któremu każdy z nas całą duszą był oddany, chociaż go nie kanonizował, na tronie wszechwładztwa nie osadzał i w jego łaskach karyery nie szukał. Wolność uważałem zawsze za boginię a tu ona ukazała się jako pijana, ordynarna dziewka, okładająca każdego przechodnia surowcową pletnią.

— Taką ona być musi — rzekł ktoś do mnie—gdy występuje w roli rewolucyi.

— Trzeba jej przebaczyć wszystkie gwałty—pomyślałem—chociażby nawet skoczyła trzydzieści wieków wstecz, aż do barbarzyństwa po środki walki, bo nimi przetworzy nasze życie według doskonalszego wzoru.

Bez protestu i oporu, bez gniewu i żalu czekaliśmy na to cierpliwie. Proszę nie sądzić, żebym uznawał siłę tylko łagodną i kulturalnie oszlifowaną. Niech będzie okrutną, niech będzie brutalną, aby była zwycięzką, twórczą i płodną. Ale okrutna i brutalna pół-siła, która nie umie być ani zwycięzką, ani twórczą, ani płodną, tylko zdobywa się na psoty, szkody, podrażnienia i rozstroje—gorsza od złej niemocy. Błogosławionym jest ostry nóż we wprawnej ręce, który rozcina chory organizm i wykrawa z niego narośl; ale przeklęty jest tępy nóż w niedołężnej ręce, który nie może dosięgnąć narośli i do choroby dołącza ranę. Rozpoczęła się na ciele naszego społeczeństwa operacya rewolucyjna tępym nożem i nieudolną ręką. Była to rewolucya szalonego ryzyka, dziecinnego optymizmu, malignowych przywidzeń, bezwzględnego lekceważenia woli, dążeń i dóbr narodu, a przytem rewolucya rozpasanego gwałtu. Postanowiła ona jednocześnie rozbić, zrujnować i zdezorganizować społeczeństwo oraz obalić rząd — przedsięwzięcie trudne do spełnienia dla jakiejś olbrzymiej potęgi a podjęte przez zmieszaną garść bohaterów, śmiałków, awanturników i dzieci. Zaledwie można wierzyć, że nadewszystko—dzieci. Naród, który przez sto lat był ofiarą bezprawia, samowoli, nietolerancyi, rujnującej gospodarki i bezwzględnego panowania siły, który przez całe to stulecie marzył, ażeby mógł bodaj przez chwilę odetchnąć swobodnie, dostał się pod nowe bezprawie, samowolę, nietolerancyę, rujnującą gospodarkę i panowanie siły. Ale to nie wyczerpywało jego niedoli. Na wyzwanie rewolucyi rząd odpowiedział najsurowszem okrucieństwem, którem uderzył nietylko w sprawców zamętu, ale w całą społeczność. Przez cały rok staliśmy w krzyżowym dwustronnym ogniu walki, terroryzowani, mordowani, więzieni, wyjęci z pod prawa, a cały ten ogrom krwi, cierpień i szkód nie jest kosztem jakiegoś szczęścia, jakiegoś lepszego jutra, które za tę cenę kupić mamy. Ta straszna danina jest już obecnie zmarnowaną.

Gdyśmy widzieli, jak kilkunastoletnie dzieciaki zatrzymywały bieg fabryk i nakazywały przymusowe bezrobocie tysiącom poważnych, osiwiałych w pracy i boju za nią robotników, nie pytając ich wcale o zgodę; gdy widzieliśmy, jak z życiem i mieniem ludu roboczego igrała sobie garstka podniecających go lekkomyślnie do wybuchu burżuazyjnych sportowców zamętu; gdy widzieliśmy, jak dziesięciu gwałciło wolę tysiąca towarzyszów — zrozumieliśmy wtedy, co to znaczy być społeczeństwem niezorganizowanem i jak wielką krzywdę wyrządził nam rząd, powstrzymując i tępiąc wszelkie organizacye. Utrzymując nas od wieku w stanie rozstroju, luźnego, mechanicznego połączenia, nietylko utrudnił nam rozwój kulturalny, ale uniemożliwił obronę przeciwko anarchii wewnętrznej. Gdyby w Niemczech, Anglii lub Francyi tacy nieletni prowodyrowie chcieli urządzać strajki i zawichrzać świat robotniczy, jacy u nas często rej wodzili, danoby im w pierwszej fabryce o tyle przekonywającą naukę, że drugi raz nie podjęliby tej roli. Tymczasem u nas dziesięciu zbiegłych z trzeciej klasy Lassalów może wzburzyć cały proletaryat Królestwa polskiego.

Ubiegły tedy rok naszego życia nie dał nam żadnej realnej korzyści, żadnego poważnego i trwałego zwycięztwa, dał nam tylko zupełną dezorganizacyę życia, potarganie stosunków, zaostrzenie przeciwieństw, dotkliwe szkody ekonomiczne i smutne odkrycia. Przekonaliśmy się, że niewola nie nauczyła nas hodować i szanować swobody a natomiast przyzwyczaiła do gwałtu i tyranii, że tak samo umiemy deptać wolność, jak ci, przeciw którym ją bronimy, że nasz lud roboczy nie jest zorganizowaną, świadomą swej siły i celów potęgą, lecz górą lotnego piasku, którą lada wiatr może roznosić i z której dzieci mogą usypywać dowolne kupki. Dzięki temu obfity wytrysk i rozlew idei życiotwórczych u nas widocz nie słabnie, społeczeństwo coraz wyraźniej zwraca się przeciwko prądom rozwojowym, grozi nam wewnętrzna reakcya pod sztandarem „narodowości“ i „demokracyi“ a w istocie pod przewodnictwem wodzów ruchu odwrotnego z wszelkich posterunków kultury. Kto wie, czy wkrótce nie powtórzymy sobie za Słowackim:

Wielcyśmy byli i śmiesznIśmy byli,
Bośmy się duchem bożym tak popili,
Że nam pagórza, ojczyste grobowce
Przy dźwięku fletni skakały jak owce.

. . . .

Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni,
Bracia rozumni, czciciele pieczeni...

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

„Przyczynowość“ konkursowa.

(Dokończenie)

Dr Ł. przybywa więc jako zbawca w samą porę, obiecując nam „logiczno-metafizyczne badania w dawnym stylu“ i bolejąc nad teoryą poznania, którą nazywa nieinaczej, jak „tym dziwacznym wytworem psychologistycznego sposobu myślenia“.

Przyjrzyjmy mu się więc przy pracy. Dotarliśmy nareszcie do owego rozdziału III.

Otóż tu autor bada przedewszystkiem właściwości owego „stosunku koniecznego“. W tym celu wprowadza cały aparat symboliczny, który u czytelniku nieobeznanego np. z matematyką i czującego dla niej pewną, że tak powiem, bojaźliwą cześć, może wywołać wrażenie jakiejś specyalnie zwiększonej ścisłości naukowej. Lecz mniejsza o to. Ostatecznym wynikiem tej defilady symbolów na obszarze stronic 128—134 są następujące reguły i właściwości:

1) „*Zachodzenie przyczyny wywołuje z koniecznością zachodzenie skutku* i t. d.“

2) „*Zachodzenie skutku nie wywołuje z koniecznością zachodzenia przyczyny i t. d.*“ (str. 130).

3) „*Stosunek przyczynowy jest splotem stos. koniecznych i niekoniecznych*“.

4) „*Stosunek ten jest nieodwracalny*“. (s. 132).

5) „*Ponieważ zawiera on przechodnie stos. konieczne, więc można go nazwać przechodnim*“. (s. 132).

Zastanowienie się nad rodowodem tych „nowych“ lub „ważnych i mało znanych“ konsekwencyj pozostawiam samemu czytelnikowi. Pragnąłbym bowiem dotrzeć jak najrychlej do określenia samej „konieczności“.

Lecz oto i ono, str. 134:

„Konieczność sprowadzić można do sprzeczności“. Pojęcie to, czyli pojęcie tego, „co być musi lub być nie może“, autor tak więc określa: „*Jakiś przedmiot P musi mieć cechę c, znaczy, że gdyby jej nie miał, byłby przedmiotem sprzecznym*; albo: *P nie może mieć c, znaczy, że gdyby ją miał, byłby przedmiotem sprzecznym*.

Przez „sprzeczny“ rozumie zaś taki przedmiot, który posiada pewną cechę i zarazem jej nie posiada, jak np. „kwadratowe koło“. Przez to zaś szczere a naiwne objaśnienie odbiera nam wszelką możność jakiegokolwiek złudzenia co do wartości i znaczenia swej kryształowej definicyi, tembardziej iż niebawem (na str. 135) dodaje, że *konieczność realną* czyli *fizyczną* „możemy i mamy prawo określić“ w taki sam sposób, jak *logiczną* lub *matematyczną*. Ostatni wreszcie cień wątpliwości pierzcha, gdy czytamy (na tejże str.) przykład ilustrujący sprawę:

„Że człowiek umrzeć *musi*, znaczyłoby zatem, iż z całością cech, które składają się na żywy ludzki organizm, cecha nieśmiertelności nie da się pogodzić. My wprawdzie tej sprzeczności uchwycić nie możemy, bo nie możemy zgłębić do dna natury ludzkiej i określić jej jakby jakieś pojęcie matematyczne, które sami tworzymy; ale umysł Najwyższej Istoty, co świat cały stworzyła widzieć ją może tak jasno i wyraźnie, jak my ją stwierdzamy w naszych tworach pojęciowych“.

W taki to sposób d-r Ł., nieprzejednany wróg antropomorfizmu, pojmuje i „tę konieczność, która zachodzi przypuszczalnie między przyczyną a skutkiem“; powiada „przypuszczalnie“, albowiem związków koniecznych w przyrodzie „nie spostrzegamy, tylko ich się domyślamy“.

Nie należy też sądzić, że nieubłagana konieczność śmiertelności ludzkiej stanowi jakiś szczególnie uroczysty wyjątek; autor postępuje zupełnie tak samo z drucikiem, kołem młyńskiem i t. d. (ulubione jego przykłady), stosując się najściślej do swego szablonu ogólnego:

„Że drucik, przez który przepływa prąd elektr., musi się ogrzewać (t. j. że pierwsze jest przyczyną drugiego zjawiska), znaczy to, że gdyby się nie ogrzewał... zawierałby cechy sprzeczne“, i t. d. i t. d.

Przy tej okazyi autor wyraża swoje głębokie przekonanie, że „przedmioty sprzeczne w przyrodzie nie istnieją, i że Bóg.. tak samo usunął wszelką sprzeczność ze Swojego dzieła, jak my ją usuwamy z naszych teoryj naukowych“. (Sic!)

Istotnie, autor ze *swojej* teoryj usunął wprawdzie „wszelką sprzeczność“, ale też i wszelką wartość.

Przypomnijmy sobie bowiem treść ostatnich cytat. Zgódźmy się (a wszyscy chętnie to uczynią) na jego określenie konieczności przez redukcyę do sprzeczności czyli niesprzeczności, i przyjmijmy też w całej pełni jego określenie stosunku przyczynowego jako *stosunku konieczności*.

Jakaż wówczas otwiera nam się perspektywa?

Z *jednej strony* „my tej sprzeczności — a więc też opartej na niej konieczności — uchwycić nie możemy“, lecz tylko „Najwyższa Istota“. Okoliczność ta mogłaby wprawdzie być jeszcze jednym tytułem do uwielbiania tej Istoty, lecz odbiera nam wszelką możność „naukowego i praktycznego korzystania“ z pojęcia d-ra Łukasiewicza, wbrew jego własnej obietnicy. Skoro bowiem nie możemy uchwycić, a tembardziej skonstatować owego stosunku koniecznego, nie możemy o żadnych dwóch

rzeczach w świecie (t. j. zjawiskach, cechach i t. d.) powiedzieć, że jedna z nich jest „przyczyną” drugiej. Autor zarzucił przyczynę, opartą na „działaniu”, obawiając się, że musiałby się w stosowaniu jej ograniczyć do samych tylko przedmiotów żywych, a zbudował natomiast „przyczynę”, która faktycznie do *żadnych* nie daje się stosować przedmiotów, ani do żywych, ani do martwych.

Z drugiej zaś strony, jeżeli np. pojęcie „drucika platynowego” ma już zawierać w sobie zgóry cechę ogrzewania się przez prąd elektryczny, cechę rozszerzania się przez ogrzewanie. i t. d. i t. d., natenczas w tym i podobnie we wszystkich innych łańcuchach zjawisk przyrody nie pozostaje nic takiego, co mogłoby dostarczyć jakiegokolwiek tematu do badań „przyczynowych” lub innych. Odpowiednie wyniki lub ich opisy miałyby bowiem wówczas najczyściejszy charakter określeń, a mianowicie:

— Nazywa się drucikiem platynowym coś takiego, co przy przepływaniu prądu ogrzewa się, co przy ogrzewaniu rozszerza się, i t. d. i t. d. — a te „i t. d.” powinienby opiewać cały szereg sposobów zachowywania się „drucika” przy wszystkich wyobrażalnych warunkach wewnętrznych i warunkach otoczenia, jednem słowem — wszystko, co łączy (lub łączyło) ten „drucik” z pozostałym światem.

Z jednego więc punktu widzenia pojęcie Łukasiewiczowskie przyczyny byłoby czemś najzupełniej zbytecznem, przynajmniej dla badacza przyrody, z drugiego zaś (jak wyżej) nie dałoby się ono zastosować do żadnej pary przedmiotów *A*, *B* (zjawisk itd.), o ile tylko *A* i *B* byłyby faktycznie różne od siebie.

Wobec tego o wartości „naukowej i praktycznej” tego utworu pojęciowego mowy nawet być nie może.

Sądzę, że sprawa obecnie stała się aż nadto jasną, aby dalej ją roztrząsać. Zakończę więc na tem tę wycieczkę krytyczną, nie podzieliwszy się nawet z czytelnikiem wrażeniem mojem odniesionem z dalszego ciągu rozdz. III i całego rozdz. IV, i ostatniego, rozprawy d-ra Ł.

Odkładam to do najbliższej przyszłości, a mianowicie do chwili, gdy ziści się nadzieja jego, że „w jednej z prac późniejszych będzie mógł nietylko wykazać błędność dotychczasowych metod badania indukcyjnego, ale stworzyć zarazem na podstawie obszernej *teoryi stosunków koniecznych*... nowe metody badania naukowego, wobec których teorye Milla okażą się tylko słabą na tym polu próbą!”

Niniejsza bowiem rozprawa „o przyczynie” ma być „tylko wycinkiem z tej ogólnej teoryi”.

Silne wrażenie, jakie wywierają te królewsko zarozumiałe obietnice, zaciera się dopiero hen-daleko, na samym końcu rozprawy (str. 167), w ostatnich skromnych słowach naszego filozofa-odnowiciela: „Mam nadzieję, że jeżeli znajdują się w tej pracy jakieś błędy, będzie je można z łatwością wykryć”.

Istotnie! *Ludwik Silberstein.*

Pojęcia metafizyczno-przyrodnicze

u dzieci od lat 4 — 10-ciu.

Czasem traktują one śmierć jako sposobność do wypłatania znakomitego figla. „Jak to dobrze jest się zabić — mówi mały J. — oni myślą, że ja w domu, a ja sobie poszedłem”. — Duszę, czyli to drugie ja J. traktuje niemateryalnie. „Nie możesz mię zabrać ze sobą do nieba w fartuszku, bo umarły nie może nieść”. Dziesięcioletnia M. opowiada: „Umarły udaje, że śpi, a potem sobie odchodzi” — potem, to prawdopodobnie jak zamkną trumnę — odchodzi sobie, dokąd? do nieba — co do którego M. zadaje pytanie: „Gdzie jest to niebo: na górze, czy na dole, w ziemi?” Przypuszczenie, żeby niebo było w ziemi rzadko się u dzieci spotyka — zwykle umieszczają je gdzieś wysoko.

Co do ilustracyi pojęć dzieci o śmierci, polecić mogę książkę Sully: „Dusza dziecka”, skąd czerpię niektóre z moich przykładów. Tutaj przytoczę jeszcze mniemania ich o raju-niebie. „W niebie — opowiada sześcioletni J. — jest ciepło, dużo trawy, cukierków i chodzą boso”. „Nie, trawy niema — poprawia go S — ale same kwiaty, przecież tam Pan Bóg”.

Charakterystycznem jest, że dzieci nie budują nigdy nieba ze złota i drogich kamieni — nie jest to ciężkie miasto z bramą z opali widzą je poprostu jako śliczną, słońcem oblaną łąkę, gdzie chodzi dobry, wielki Bóg z dłońmi pełnemi cukierków i mnóstwem małych, nagich, a przynajmniej bosych aniołków.

Pomimo jednak takich rozkoszy żadne z badanych przezemnie dzieci nie chciało umrzeć. Jedne jako wymówkę podawały płacz mamy, inne nie chciały powiedzieć czemu, jeszcze inne mówiły poprostu: „Ja jeszcze muszę żyć”. Z drugiej jednak strony, stworzenia bynajmniej nie uważają za dobrodziejstwo. „Cóż on za dobroczyńca — gdyby mię nie stworzył — byłabym nawet nie wiedziała, że mogę być” — mówi nasza znajoma M.

Tak jak śmierć innych, jako zniknienie, jest dla nich zupełnie prawie niemożliwą do pojęcia, to śmierć własna jest poprostu absurdem. „Czyż ja — mówi ze zdumieniem M. — umrę jak się skończy świat? Jakżeż to będzie?” Koniec świata wydaje jej się możliwym wówczas, kiedy wszyscy umrą — pyta bowiem: „Kiedyż będzie ten koniec świata i sąd ostateczny, kiedy ciągle się żenią i ciągle mają nowe dzieci?”

VI. Dla dzieci nieodzownie potrzebnemi są pojęcia Boga, dyabła i anioła — są to istoty doskonale malcom znajome, obcujące z niemi codzień i mieszające się nawet do takich prostych czynności, jak grzeczne zjedzenie obiadu lub położenie się spać. Nic więc dziwnego, że szczególniej Boga wyobrażają sobie jasno i myślą o nim dużo, zachowując ma się rozumieć, gruby antropomorfizm. Czy nie prawdziwem jest znane odwrócenie twierdzenia katechizmowego w zdaniu: „Nie Bóg nas stworzył na obraz i podobieństwo swoje, ale myśmy go wedle siebie stworzyli”. Wyobrażają go więc sobie jako wielkiego (w związku z wszechobecnością) starca z siwą brodą, czasem „aż do ziemi”, chodzącego boso po zielonej łące-niebie albo siedzącego na obłokach jak na tronie (często poprostu na fotelu) — czasem — jako, wedle naszych pojęć, zdziecinniałego staruszka — bawiącego się księżycem jak piłką. Czteroletnia dziewczynka umieszczała Boga blizko słońca i niepokoiła się, czy go oczy nie bolą od wielkiego blasku. Inna uważała, że „u Bozi jest tak jasno, że to jasne słońce, to drzwi do nieba otwarte”. Niektóre dzieci, skrępowane pojęciami katechizmowemi, myślą tylko o Bogu chrześciańskim, a mianowicie Chrystusie, co się wyraziło między innemi w ironicznem odezwaniu się S. „To Bóg! Ładny mi Bóg *bez krzyża!*” Podobnie J., widząc wizerunek Trójcy, uważa za Boga tylko „tego Ukrzyżowanego” — starca zaś z siwą brodą uważa za świętego Władysława. Starsza, dziesięcioletnia dziewczynka pod wpływem nauk katechizmowych wie, że Pan Bóg jest duchem — trudno jej jednak to zrozumieć — przypuszcza np., że Bóg do pełnienia jakichkolwiek czynności przemienia się w człowieka np. żeby sądzić podczas sądu ostatecznego. Pewna ośmioletnia dziewczynka rozumiała znów Boga jako „pana” (mężczyznę), którego się trzeba „wstydzić” przy ubieraniu.

W ogromny kłopot wprowadzają dzieci katechizmowe epitety Boga, jak wieczny, wszechobecny i t. p. One zawsze tak ściśle, choć materyalistycznie logiczne z pewnem oburzeniem patrzą często na tak sprzeczne z materyalną rzeczywistością pojęcia.

Dziesięcioletnia M. wieczność Boga wyobraża sobie w ten sposób: „To może on jak się zestarzeje znowu staje się dzieckiem i tak ciągle”. S. mówi: „Wieczny, to znaczy, że on pierwszy był” zupełnie nie rozumiejąc zatem pojęcia wieczności — na usiłowania wytłomaczenia jej tego, odpowiada: „Eh, to, to chyba nieprawda”.

„Kto zrobił Boga?” pyta dziecko, dla którego nieustanne trwanie jest czemś niepojętem.

Jeszcze większe zgorszenie wywołuje myśl o wszechobecności Boga — uważają nietylko za trudne do pojęcia, ale poprostu za nieprzyzwoite to nieustanne śledzenie każdej czynności — z tego też powodu ich pytania w tej kwestyi mają akcent rozdrażnienia. „Ach, jakżeż Bóg może być wszędzie — mówi M. — czy jest na koniu, czy jest na ośle? Zresztą jeżeli jest w nas, to musi być tyle Bogów, ilu ludzi?!” „Czyż on może wiedzieć co się dzieje w Azyi i Ameryce, czy ma szesnaście oczu?” — Taż sama M. później myślała, że Bóg jest wszędzie, bo ma szesnaście nóg, a widzi wszystko, bo ma ogromnie *długie* (odległość ziemi od nieba) lunety. Czternastoletnia dziewczynka z ludu myśli, że muszą być chyba takie *duże* oczy. S. znowu wyobraża sobie Boga w postaci osoby, która patrzy w jedną stronę, a tajemniczym sposobem widzi wszystko, co się dzieje po za nią, co powoduje pytanie: „Czy on ma cztery głowy?

Wszechmoc Boga też nie jest dogmatem dla naszych małych sceptyków; nie wierzą nawet, by Bóg mógł, kiedy chce, opuścić niebiosa. „On mi nic nie może zrobić — mówi mały J. na groźbę pomsty Pana Boga — bo on na górze, a ja na dole”. „Przecież Bozia nie może zrobić, żebym pojechała na spacer kiedy nie chcę” — mówi K.

Niektóre dzieci obmyślają wprost scholastyczne pułapki dla swoich wychowawców: „Powiedz mi, czy Bóg może zrobić, żebym nie wszedł na schody, kiedy już wejdę?” — pytał pewien mały chłopiec.

Zapewne, że Bóg jest dobry — rozumują dzieci, chociaż czasem nie daje nam codzień ciastek, kiedy ich ma tyle, ale nie tak znów „okropnie” dobry, jak mówi niania czy mama. „Dlaczego naprzykład — dowodzi dziesięcioletnia M. — trzyma grzesznika ciągle w piekle — powinienby się przecież dać przeprosić”. Na zapytanie katechizmowe: czy Bóg łatwo przebacza grzesznikom? — odpowiada, że niełatwo i daje na to dowód powyższy. Ona także uważa za wysoce niesprawiedliwe przenoszenie skutków grzechu pierworodnego na potomstwo: „To tak jakby Józio rwał jabłka, a mnie za to ukarano”.

Taż sama M. w ciekawy bardzo sposób wyjaśnia sobie samej pewne sprzeczności i niewystarczalność tłomaczeń katechizmowych — widzi ona mianowicie w Bogu rodzaj nauczyciela, który posługując się metodą sokratyczną, chce doprowadzić swoich uczniów do wiedzy. „Ja wiem dlaczego on nam nie chce wytłómaczyć, co to jest niebo i co to jest dusza, bo on chce, żeby człowiek sam myślał i pracował i sam się tego dowiedział”. Taż M. opowiada, że gdy była mała, myślała, że Boga wcale niema, nieinteresowało ją to widocznie, pacierz zaś mówiła tylko tak, aby zbyć.

Brat M. zapytany, gdzie można widzieć Boga, odpowiedział: „Na obrazku, albo w teatrze”. Ta niewiara w istnienie jakiegoś

„nieudawanego" Boga, jak mówił, wynikała u tego chłopca z wrodzonej dążności do jasnego, ścisłego myślenia—nie lubił on wyrażeń nieokreślonych, pojęć niejasnych. Raz żałując bezpańskiego psa, Żuka, mówi: „Ten Żuk to jest najbiedniejszy pies, ale nic — poprawia się, najbiedniejszego psa niema na całym świecie".

Z tych przykładów wyłania nam się postać dziecięcego Boga: jest on podobny do naszego zantropomorfizowanego bóstwa—pozbawiony jednakże wszelkiej wyższości, ogołocony nawet z tych do potęgi podniesionych cnót, jakiemi go ozdabiamy. Jest to poprostu dobry staruszek, władający jakiemś państwem dość nieuchwytnem i legionami aniołków—w pewnych wypadkach wcale zręczny sztukmistrz. „Ty wiesz, Bóg może cię widzieć przez zamknięte okiennice" — mówią pewnemu małemu Amerykaninowi. „Wiem, wiem, to taka sztuka" —odpowiada niezmieszany. „Gdybym *umiała robić* cuda—marzy S. — zarazbym tu sobie postawiła Boga i zrobiła pożar, ale żeby się nikt nie oparzył — ach, jak jabym chciała widzieć Boga i pożar!"

Nawet zwykła broń bóstwa i narzędzie kary u Indów starożytnych, pioruny i błyskawice, dzieci bynajmniej nie przerażają: „To Bóg przesypuje węgle w swej piwnicy" albo „aniołki biegają z taczkami, wożą piasek" albo „Bozia jedzie na bicyklu"—tłomaczą malcy. Wersya—„Bozia się gniewa" jest wyłącznie zasuggestyonowana przez nianki — dzieciaki uważają hałas ten poprostu za odgłosy, zwykłe dla kogoś mieszkającego na dole, z górnego piętra kamienicy.

VI. Sługą i posłańcem, czasem dzieckiem lub paziem Boga są małe, dziecinne aniołki, trzeba je dokładnie odróżniać od dużych aniołów pełniących służbę przy dorosłych. „Mój aniołek jest mały, ale grzeczny i sam się już umie ubierać" — opowiada sześcioletni J. „Przecież musi być tak mały, jak ty - dodaje S.—boby się za tobą nie zmieścił".

Czteroletnia G. uważa aniołki za dzieci Matki Boskiej i dowodzi, że z tego powodu ma ona dużo roboty, bo musi im wszystkim majteczki zapinać. Też sama G. zachowuje się sceptycznie co do istnienia aniołków na ziemi, czego dowodzi przycisnąwszy mocno rączką ścianę i mówiąc: „Gdzież tu jest aniołek — gdyby był, toby się zgniótł".

Dzieciaki wogóle lubią bardzo tych swoich małych towarzyszów i w potrzebie umieją się nawet dla nich poświęcić. M. opowiada, że gdy była mała, myślała, że aniołek śpi z nią w łóżku i usuwała się na sam brzeżek, aby on miał wygodnie.

Aniołki te wogóle mają nader wiele zajęcia: one to, biegając z koneweczką i podlewając kwiaty, wytwarzają deszcz; one zapalają gwiazdy-lampki, one podają panu Bogu laskę, gdy idzie na spacer — one pilnują dzieci—do nich wreszcie niepodzielnie należy odnoszenie dusz zmarłych do nieba. Postać ich zewnętrzna z małemi zmianami kolorystycznemi jest prawie zawsze jednakowa: dziecko ze skrzydłami.

VII. O ile Bóg dziecięcy w otoczeniu aniołków jest tak poczciwie nieszkodliwym —o tyle dyabeł już wprost krotochwilnie się przedstawia. Tutaj bowiem stanowczo uważać go musimy za wyłączne dzieło nianiek—za najzwyklejszego stracha na wróble, powagą katechizmową potem uświęconego i do godności opornej Bogu siły podniesionego.

Zwykłem jego siedliskiem jest piekło, mieszczące się pod ziemią lub w górze, rodzaj wielkiej kuchni, gdzie się smażą dusze—czasem przychodzi on straszyć niegrzeczne dzieci: staje za oknem lub ukrywa się w ciemnym pokoju. Przeciętciowo u sześciorga na dziesięcioro z badanych przezemnie dzieci dyabeł był czerwony, ma się rozumieć ze zwykłymi rogami i kopytami, cztery mówiły, że jest czarny, doskonale motywując to „przysmaleniem przy ogniu". Sześcioletni J. straszył siostrzyczkę „cortem z rękami aż do północy i nogami dalej niż do północy i sto milion głowami". S. miała w ciemnej altance wizyę dyabła „co ma cztery głowy i może patrzeć i tu i tam". Cel rogów dyabła, jako narzędzia męki dla grzesznika jest jasny—zainteresowanie i wątpliwości budzą tylko kopyta. („Na co dyabłowi kopyta?"—pyta M.).

Kończąc tę niedokładną próbę charakterystyki pewnej dziedziny pojęć, wyrażam nadzieję, że stan obecny, istotnie opłakany, przy współdziałaniu rodziców i wychowawców wkrótce mógłby się zmienić na lepsze.

J. Idzikowska.

LITERATURA I SZTUKA

NOWE KSIĄŻKI.

Szymon Askenazy. **Książę Józef Poniatowski.** 1763—1813. Wydanie skrócone przez W. St. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. r. 1906. Str. 51.

Napoleon, umiejący tak dobrze poznawać ludzi, scharakteryzował ks. Józefa w tych słowach: „Prawdziwym królem Polski był Poniatowski, posiadał wszystkie po temu prawa i wszystkie talenty. A jednak on milczał". Dziwiło Napoleona to zapominanie o sobie, wobec ciągłej myśli o potrzebach ojczyzny, o honorze i sumieniu, jaka przyświecała ks. Józefowi zwłaszcza od chwili, gdy „nad samem uchem jego i kraju ogromną, wstrząsającą z letargu pobudką ozwały się lotne pioruny napoleońskie, zaniesione na ziemię polską". Prawda, że wrogowie i oskarżyciele księcia miewali nieraz uzasadnione powody do oburzania się na jego lekkomyślność; życie jego w czasie od r. 1795 do 1806 dostarczyło najwięcej powodów do potępienia. „Dusza piękna i szlachetna wyrywała się do czynów wielkich, a skazana na bezwład przymusowy, szukała upustu w wybuchach silnego temperamentu, byle oszołomić się, zapomnieć". Ale kiedy przyszła chwila, że ks. Józef mógł zużytkować cały swój talent organizacyjny, energię, zdolności wojskowe na służbę dla ojczyzny, czystą, wielką, oddał się jej całkowicie i ani na krok nie zeszedł z drogi obowiązku i honoru. A pokus i obietnic nie szczędzono mu ciągle z różnych stron.

„Może za to kiedyś ręce moje im będą czystsze, tem godniej pielęgnować Ciebie potrafią w potrzebie" — pisał do króla jeszcze w r. 1795, kiedy ten, jadąc na abdykacyę do Grodna, błagał synowca, by jechał z nim razem. Odrzucał potem stanowczo wszystkie propozycye cesarza Aleksandra.

Książeczka, której tytuł wymieniliśmy w nagłówku, jest skrótem z obszerniejszej pracy prof. S. Askenazego o księciu Józefie. Została napisana w celu ułatwienia szerszemu ogółowi poznania wspaniałej postaci ks. Józefa, gdyż cena książki prof. A. była ze względu na znaczne rozmiary dzieła nieprzystępna dla warstw szerszych.

Moje służby. Dziennik Marcysi, poprawiony z rękopisu przez *Cecylię Walewską.* Warszawa. Księgarnia Naukowa. 1906 r. Str. 138.

Kwestya warunków życia naszej służby poruszana była u nas niejednokrotnie i w różnych formach. Pani Walewska oświetliła ją w powieści, pisanej w formie dziennika służącej. Kto wie, czy powieść taka nie podziała skuteczniej na pewne sfery naszych chlebodawczyń od odczytów i broszur. Większa część t. zw. pań przywykła widzieć w sługach wrogów swoich, zło nieuniknione, i na myśl nie przychodzi im wcale, że stosunek ten można zmienić i obu stronom lepiej z tem będzie. Po przeczytaniu dziennika Marcysi, niejedna pani może inaczej spojrzy na swoją „do wszystkiego".

Rudolf Penzig dr. fil. doc. Ak. Berl. **Jak odpowiadać na pytania dziecięce.** Tłomaczyły z niemieckiego Zofja Rotsztajnowa i Marya Lipska. Warszawa. Nakładem księgarni M. Borkowskiego. 1905. Str. 242.

Książka Penziga nie daje i dać nie może dokładnych wskazówek, jak na każde pytanie dziecka odpowiedzieć. Zadaniem jej jest, jak zaznaczono w przedmowie, pobudzić myślących rodziców i wychowawców do samodzielnej twórczości na polu wychowania. „Wychowanie jest sztuką; artysta, który ma tworzyć ludzi, powinien posiadać niesłychanie subtelną wrażliwość, wysoki takt i miłość dla dziecka, a w duszy nosić idealny obraz swego dzieła—obraz ludzi przyszłości. Jakże to daleki od rzeczywistości ideał wychowawcy-artysty! Jednak widzimy dzisiaj dążenie do pozbycia się dawnych wad, zbliżenia się choć trochę do tego typu wychowawcy-artysty, idącym po tej trudnej drodze doskonalenia się; książka Penziga może oddać znakomite usługi.

W pierwszych dwóch rozdziałach rozważa autor psycho-genezę pytań dziecięcych, odpowiedzi żartobliwe i poważne, kładąc nacisk na to, że o ile wszystkie odpowiedzi nie mogą i nie powinny być wyczerpujące, o tyle muszą być poważne. Omawiając dalej stosunek dzieci do rodziców, Penzig twierdzi, że wychowanie powinno obudzić poczucie praw i obowiązków, ażeby to osiągnąć, musimy dać dzieciom prawa. Niech one rozumieją i odczuwają prawo do korzystania ze wszystkiego, co im potrzebne jest do życia. Dziecko poznawszy swe prawa, odczuje obowiązki, jakie z nich wypływają. Często zdarza się, że rodzice na każdym kroku dają uczuć dziecku, że wszystko, co robią dla niego, robią z łaski; wówczas zamiast upragnionej wdzięczności otrzymują najczęściej niechęć lub nawet tłumioną nienawiść.

W następnych pięciu rozdziałach zastanawia się autor nad stosunkiem dziecka do rodzeństwa, przyjaciół, służby, szkoły, nauczycieli, świata zwierzęcego i roślinnego, do śmierci i życia, do społeczeństwa i wreszcie do Boga. Wszystkie wskazówki i przepisy postępowania z dziećmi opromienione są myślą o tym człowieku przyszłości, którego wychowywać obowiązani jesteśmy. Treść i forma wychowania zmieniać się muszą ciągle, „a największą tajemnicą, jaką posiada metodyka wychowania—kończy swą pracę Penzig—jest niewyczerpana miłość rodzicielska". Na książkę tę wychowawcy powinni zwrócić uwagę. Rozjaśnia ona wiele zagadnień, nasuwających się często w obcowaniu z dziećmi, pobudza do myślenia i do samodzielnych doświadczeń na polu pedagogii. Owiana jest przytem duchem szlachetnego humanitaryzmu, nakazującym w dziecku już budzić poszanowanie człowieka, jego praw i pracy, oraz głębokie umiłowanie obowiązku i prawdy. *M. B.*

O bohaterskim koniu i walącym się domu prozą napisał *Jan Kasprowicz.* 1906. Str. 166.

Lwie pazury autora żłobią głębokie rysy w każdym materyale, a materyał niektórych drobiazgów, z jakich się składa ta książka, jest zupełnie błahy. Są tu drobne arcydzieła humoru i satyry (*Modlitwa episjera, Równi z równymi, Pana Antoniego C., współwłaściciela firmy Antoni C.& S-ka przy ulicy M.sen o sądzie ostatecznym. List*), delikatne i głębokie liryki (*Portal katedry, Główki dziecięcie, Błogosławieństwo*). Są też rzeczy, jak naprzykład „*O walącym się domu*" w których symbole są tak dziwaczne, że z nich sens jakiś wycisnąć mógłby chyba prywatnie sam autor. Szeregi obrazów, następujących po sobie w

pewnej z genialną intuicyą ułożonej skali i gamie, mogą dać pojęcie o rzeczy samej jaśniejsze, głębsze, prawdziwsze, niż bezpośredni opis; pojęcie bliższe tej prawdzie autora, której on nie może wyrazić bezpośrednio dla braku środków w technice ludzkiej myśli. Symbole mają w sobie byt osobisty, życie własne, oderwane już i niezależne od jaźni autora i może od myśli autora bogatsze. Wywierają czar osobisty, mają władzę i urok własnych promieni. Ale jeżeli szeregi porównań i obrazów nie dają absolutnie nic, oprócz swojej literalnej treści? Czy zawsze tu winien będzie czytelnik, w myśl zasady, że kto głupi, ten nie rozumie? Czy dla wywołania magicznej wizyi, mającej wytrysnąć po za środkami pojęć, z bezpośrednich głębin duszy, której struny tajemne potrącił niespodziany symbol—dostatecznem jest, ażeby obrazy i myśli, zgromadzone w jeden szereg, były zupełnie pozbawione związku z sobą?

Stanisław Witkiewicz. **Na przełęczy.** Wydanie drugie. Lwów. 1906. Str. 294.

Książka szeroko znana, doskonała ze źródlanej jasności energicznego języka, z jaskrawości i wypukłości obrazów realnych i idealnych, logiczności i artyzmu myśli.

Gorkij-Andrejew-Korolenko. **Godziny więzienne.** Przełożył Józef Mondschein. 1906. Str. 131.

Gorkij ogromnie wiele traci na przekładzie. Żywiołowość i głęboki, pełny ton jego mowy przepada bez śladu, natomiast występuje zamaskowany w oryginale tani patos i płytka filozoficzność.

Najpiękniej w nierównym ilościowo tryptyku przedstawia się Andrejew. Delikatna przędza jego myśli daje się zdjąć z kanwy języka rodzimego i rozpiąć na obcym wzorze prawie bez szkody dla linii, świateł i cieni. Prostą bardzo i szczerą „Otchłań" psuje jednak fatalnie płaski dodatek: list batjara Teodora, robiony jakgdyby przez jakąś fałszywą dewocyę, kłamny, niezgodny ani z prawdą życiową (o co mniejsza), ani artystyczną.

Rzewny liryzm Korolenki wylewa się potokiem serdecznym w opowieści „Dziwna".

Przekład staranny i ładny.

SPRAWY EKONOMICZNE

Gubernia Lubelska

STAN EKONOMICZNY

(Ciąg dalszy)

W porównaniu z własnością większą, włościanie posiadają znacznie więcej ornej ziemi, łąk, pastwisk i nieużytków, natomiast lasów bardzo mało.

W porównaniu z innemi guberniami przestrzeń ziemi ornej ustępuje tylko Warszawskiej, przestrzeń łąk tylko Suwalskiej, przestrzeń pastwisk Suwalskiej i Siedleckiej, przestrzeń nieużytków tylko Suwalskiej; pod względem przestrzeni leśnej własność włościańska w gubernii Lubelskiej zajmuje pierwsze miejsce w szeregu gubernii Królestwa Polskiego.

Stosunek używalności gruntów w innych kategoryach własności przedstawia się w sposób następujący:

RODZAJ WŁASNOŚCI	Pod zabudowaniami	Grunta orne	Łąki	Pastwiska	Lasy	Nieużytki
Ziemia osad	3486	20748	3176	3241	1920	1995
„ miast	2597	10647	1848	1304	984	1621
„ drobnej szlachty .	561	6316	672	329	404	371
„ rządowa . . .	117	901	948	5	22573	30

Rozpatrując ogólny stosunek gruntów ze względu na ich przeznaczenie w poszczególnych powiatach znajdziemy, że największy procent ziemi ornej posiadają powiaty: Hrubieszowski 57,4% i Krasnostawski 59,5%, najmniejszy Biłgorajski 43,1, Zamojski 46,5 i Chełmski 48,6, w reszcie procent ziemi ornej waha się pomiędzy 55 w powiatach Tomaszowskim i Janowskim i 53,5 w powiecie Nowo-Aleksandryjskim. Łąk najwięcej w powiatach Chełmskim 15,5%, Hrubieszowskim 13,9 i Tomaszowskim 13,1. Lasów najwięcej w powiecie Zamojskim 34,7%, Janowskim 30,1, Biłgorajskim 27,9 i Lubelskim 16,1 — najmniej w Chełmskim 19,9% i Hrubieszowskim 20,5. Nieużytków najwięcej w Biłgorajskim 9,6, najmniej w Hrubieszowskim 2,1.

Stosunek posiadania ziemi przez rozmaite kategorye własności w poszczególnych powiatach przedstawia się w ten sposób:

(patrz tabelka szpalta następna).

Widzimy więc, że stosunek własności większej i mniejszej w rozmaitych powiatach jest bardzo niejednakowy. Własność większa przeważa w powiatach Hrubieszowskim, Zamojskim, Lubelskim i Krasnostawskim. Własność zaś drobna w powiatach: Biłgorajskim, Nowo-Aleksandryjskim i Lubartowskim.

Po za ludnością posiadającą w gubernii Lubelskiej istnieje 93,230 osób proletaryatu bezrolnego, co stanowi 11,5% ogółu ludności. W porównaniu z innemi guberniami pod względem ilości absolutnej bezrolnych gubernia Lubelska ustępuje tylko Warszawskiej i Kaliskiej, pod względem zaś stosunku procentowego ilość ta zbliża się bardzo do przeciętnej dla całego kraju. Największy procent bezrolnych w gubernii Lubelskiej spotyka się w powiecie Hrubieszowskim 15% i Lubelskim 17%, najmniejszy w Nowo-Aleksandryjskim 9,8%, Janowskim 7,7% i Biłgorajskim 6,3%. Większość ludności bezrolnej stanowią robotnicy folwarczni, do których zalicza się 44,217 osób stanowiących rodziny, 1,372 robotników i robotnic pojedyńczych. Ilość parobków włościańskich jest bardzo nieznaczna, należy bowiem do nich zaledwie 1,213 osób—w tej liczbie 818 należących do rodzin i 395 pojedyńczych.

Powiaty	Ziemia [illegible] %	Wł[illegible] %	Ziemia [illegible] %
Biłgorajski	38,9	56,0	1,5
Hrubiszewski	54,3	37,6	2,6
Zamojski	54,2	42,2	1,1
Krasnostawski . . .	51,8	41,6	2,3
Lubartowski	40,8	50,0	4,5
Lubelski	54,8	40,4	1,7
Nowo-Aleksandryjski .	41,0	50,7	3,8
Tomaszewski . . .	50,3	43.6	2,0
Chełmski	45,3	46.3	2,1
Janowski	48,3	45,1	2,4

Najemników pracujących na dni gubernia Lubelska liczy 32,783, żyjących w rodzinach i 1044 pojedyńczych, razem 33,827. Rzemieślników 6,233, robotników fabrycznych 533, handlujących 493, innych zajęć 3,809 osób.

Oprócz tego spotykamy w gubernii Lubelskiej 1401 drobnych dzierżawców i 92 ogrodników. Ilość dzierżawionych kawałków ziemi wynosi 293, przeciętna zaś wielkość dzierżawy 7,8 mor.

Ilość ogrodów oddawanych na odrobek w całej gubernii wynosi 37, przeciętna zaś przestrzeń takiego ogrodu 2,4 morga.

Typ drobnej dzierżawy w kraju naszym jest mało rozpowszechniony, zasługuje on jednak na zwrócenie bacznej uwagi naszych ekonomistów choćby z tego względu, że zajęcie tego rodzaju jest przedmiotem marzeń wielkiej części parobków folwarcznych, i może posłużyć jako stopień przejściowy do własności, wreszcie jako jedyne wyjście dla parobka ze stanu zależności. Należałoby jednak pomyśleć o tem, aby dzierżawy tego rodzaju nie zależały od dobrej woli posiadaczy większej własności, ale były tworzone przez gminy, na gruntach specyalnie na ten cel przeznaczonych.

Dane zebrane przez Komitet statystyczny dają możność wyjaśnienia kwestyi o liczebnym składzie rodziny proletaryatu bezrolnego; otóż na rodzinę bezrolnych we wszystkich guberniach Królestwa wypada przeciętnie 4 osoby z mniejszym lub większym ułamkiem, — w gubernii Lubelskiej wypada 4,2.

Jeżeliby z ilości członków rodzin można było sądzić o stanie dobrobytu poszczególnych kategoryi bezrolnych, to należałoby przypuszczać, że największym dobrobytem cieszą się dzierżawcy, śród których na rodzinę wypada 4,9 osób.

Następne miejsce zajmują:

handlujący	4,7	osób
rzemieślnicy	4,5	„
robotnicy folwarczni	4,4	„
robotnicy fabryczni	4,3	„
ogrodnicy	4,2	„
najemnicy	3,9	„
robotnicy włościańscy	3,7	„

Tablica ta zdaje się potwierdzać przypuszczenie, ze najliczniejsze rodziny spotykamy w kategorych, cieszących się najlepszym dobrobytem.

Zarobki i pożywienie.

Wielka ilość bezrolnych posiada duże znaczenie w kwestyi wysokości zarobków ludności wiejskiej. Jeżeli w ostatnich latach pomimo wzrostu liczebnego bezrolnych płaca w Królestwie się zwiększa, przyczynia się do tego głównie emigracya do Ameryki i na zarobek do Prus. To też zwiększenie płacy daje się odczuwać najsilniej w guberniach, gdzie wychodźtwo do Prus przybrało większe rozmiary. Gubernia Lubelska pod tym względem postawiona jest w warunkach niedogodnych z powodu zbytniego oddalenia od granicy, i dla tego ruch emigracyjny z tej gubernii jest prawie żaden, a płaca robocza należy do minimalnych w Królestwie, przewyższając jedynie płacę w gubernii Kieleckiej.

Płaca dzienna najemnego robotnika na własnym stole w ostatnich latach wynosiła w gub. Lubelskiej:

podczas lata —	$40\frac{1}{2}$ kop.
w jesieni —	27 kop.
podczas zimy —	21 kop.

Jeżeli porównamy wysokość tej płacy z płacą w roku 1890, przekonamy się, że przez całe lat dziesięć pozostaje ona na miejscu, a jeżeli się podniosła, to bardzo słabo, bo o 1 kop. dziennie podczas lata i o 1 kopiejkę dziennie w jesieni, kiedy w tym-że czasie w guberniach, gdzie ruch wychodźczy silnie się rozwinął, podniosła się znacznie: w Płockiej o 20 kop. dziennie, w Kaliskiej o 21, w Warszawskiej o 18 i w Suwalskiej o 10 kop. dziennie podczas lata.

To samo da się powiedzieć i o wynagradzaniu pracy najemnej kobiet, które w gubernii Lubelskiej wynosi obecnie:

podczas lata —	$29\frac{1}{2}$ kop. dzien.	
„ wiosny —	19	—
„ jesieni —	20	—
„ [illegible] —	14	—

Przyjmując za normę 290 dni roboczych w roku i przeciętne wynagrodzenie dla mężczyzny 29 kop. dziennie a dla kobiety 21, otrzymamy roczny dochód najemnika w sumie 84 r. 10 k. i najemnicy 60 r. 90 k., czyli na rodzinę 145 rubli. Suma ta jednak w rzeczywistości okaże się mniejszą, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że ze 290 dni roboczych wiele należy wytrącić z powodu choroby lub braku roboty. W porównaniu z innemi guberniami, zarobek najemników w gubernii Lubelskiej jest bardzo nizkim i pod tym względem ustępują jej tylko gubernie Kielecka i Siedlecka.

Jak wspomniałem wyżej najliczniejszą kategoryę bezrolnych stanowią robotnicy folwarczni, czyli tak zwani parobcy. Wynagrodzenie, otrzymywane przez nich, dzieli się na płacę pieniężną i produkta wydawane w naturze. Położenie ich w porównaniu z innemi kategoryami bezrolnych jest lepszem o tyle, że mają zapewnione na rok cały mieszkanie, opał i pożywienie; złą stroną ich położenia jest zależność, małe stosunkowo środki utrzymania, niemożność wydobycia się ze swego położenia, nędza na starość lub w wypadkach kalectwa i choroby.

Wynagrodzenie robotników folwarcznych w gub. Lubelskiej jest stosunkowo najwyzszem w kraju i wynosi przeciętnie 7,3 czećwierci zboża, 15,9 czećwierci kartofli, 110 sążni kwadr. ogrodu pod len i warzywa, utrzymanie dla krowy, mieszkanie z opałem i 19 rubli pensyi. Różnica w wynagrodzeniu w rozmaitych powiatach jest dosyć znaczną, dlatego uwidoczniam ją na niżej zamieszczonej tablicy.

Powiaty	[illegible] ćwierci	Kwadr. sążni pod kartofle	Kwadr. sążni pod len	Zbiór kartofli [illegible]	Pensya	Ogół całego wynagrodzenia z mieszkaniem i opałem
[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible],4	17	[illegible]
[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	19	[illegible]52
[illegible]	[illegible]	606	[illegible]	[illegible]	16	[illegible]0
[illegible]	[illegible]	61[illegible]	[illegible]	[illegible],5	[illegible]	148
[illegible]waki	[illegible]	600	[illegible]	[illegible],9	20	[illegible]
Lubelski	[illegible]	[illegible]00	[illegible]	[illegible]	20	[illegible]64
[illegible] Al[illegible]yjski	[illegible]	61[illegible]	[illegible]	[illegible]	21	[illegible]62
[illegible]szo[illegible]	[illegible]	61[illegible]	[illegible]	[illegible],7	18	[illegible]0
[illegible]	[illegible]	622	64	1[illegible],8	21	[illegible]64
[illegible]nowski	[illegible]	500	82	1[illegible],8	19	[illegible]65
[illegible] w gub[illegible]	[illegible]	585	[illegible]	[illegible]	19	[illegible]61

Zdawałoby się trudnem do uwierzenia, a jednak jest prawdą, że różnica w wynagrodzeniu tych nędzarzy w poszczególnych powiatach dochodzi do 24 rubli rocznie, sumy ogromnej w budżecie robotnika folwarcznego. Unormowanie wynagrodzenia robotników folwarcznych jest koniecznem z wielu względów: najważniejszym z nich będzie zawsze polepszenie warunków bytu tych z pomiędzy nich, którzy są najgorzej płatni; ważną następnie będzie ta pewność, że jednakowa praca jest jednakowo wynagradzaną; robotnik nie będzie zmuszony szukać po omacku folwarków z lepszem wynagrodzeniem, tembardziej, że wynagrodzenie to ukrywa się w wydajności gruntu, w gatunku paszy, dawanej parobczym krowom, w gatunku ziarna, dawanego w ordynaryi, mieszkaniu, opale i t. p. rzeczach, które na oko ocenić się nie dają, a których korzyść lub niekorzyść parobek może ocenić nieraz dopiero po kilkoletnim pobycie w danym folwarku.

Robotnicy pojedynczy, utrzymywani na dworskim stole otrzymują wynagrodzenie roczne: mężczyzna 33 r., kobieta 24, położenie ich o tyle jest lepszem, że nie obarczeni rodziną łatwiej mogą się poruszać z miejsca na miejsce i szukać wygodniejszych warunków zarobkowania, dlatego też płaca ich w porównaniu z przeszłych lat dziesiątkiem podniosła się blizko o 24%.

Koszt pożywienia najemników zależy od pory roku. W lecie przy większem naprężeniu muskułów, pożywienie musi być posilniejszem i dlatego jest droższem, w zimie biedak obywa się byle czem, więc pożywienie kosztuje taniej. W ostatnich latach koszta pożywienia, prawdopodobnie w obec polepszenia warunków płacy w całem Królestwie, podniosły się o 1 do 2 kop. dziennie, w gub. Lubelskiej, gdzie płaca prawie się nie podniosła, koszt pożywienia spadł z $8\frac{1}{2}$ kop. dziennie dla mężczyzny na 8 kop., a dla kobiety z 6,3 na 6 kop.

Wobec tego koszt pożywienia rocznego jednego człowieka wynosi dziś w gub. Lubelskiej 25 r. 55 kopiejek.

Widziemy ztąd, że wydatki na wyżywienie rodziny grają ogromną rolę w skromnym budżecie robotnika wiejskiego i wynoszą przeszło 64% całego zarobku, jeżeli dodamy do tego dosyć wysoką obecnie cenę mieszkania i opału obliczoną w gub. Lubelskiej na 35 rubli rocznie, to otrzymamy mniej więcej taki budżet robotnika folwarcznego:

Zarobek.		145 rb.
Wydatki: na pożywienie rodziny . . .	97 r.	
opał i mieszkanie	35 r.	
razem.		132 rb.

pozostaje zatem na ubranie, sól, naftę, mydło, przyjemności, lekarstwa i oświatę na całą rodzinę robotnika . . . . 13 rb. czyli mniej niż koniecznie potrzeba.

(d. n.)

St. Staniszewski.

Z życia rosyjskiego.

Z opisów napadu na transport pieniędzy celnych w Petersbrgu wiadomo, że wynikiem było zabranie 368,000 rb. Cały transport wynosił 600,000 rb., które umieszczone były w trzech workach: w jednym 3,600 rb. w złocie, w drugim 368,000 rb. w biletach kredytowych, w trzecim 229,400 rb. w papierach procentowych.

Przebieg napadu był następujący: karetę, jadącą wolno z eskortą, na rogu ul. Fonarnej i kanału Ekateryneńskiego o godz. 11-ej m. 27 przed południem, otoczyła niewielka grupa ludzi od 15 do 20 osób. Wszyscy byli młodzi i przyzwoicie odziani. Wskutek tego, że jeden z nich rzucił bombę metalową pod konie nastąpił wybuch. Jeden z koni ze złamanemi przedniemi nogami upadł na ziemię. Kareta się zatrzymała. Wśród konwoju nastąpiło zamieszanie. Konie spłoszyły się i poniosły jeźdźców w przeciwną stronę ulicy. Tylko podoficer, stojący na czele konwoju, rozpoczął strzelać do napadających. Zanim jednak ucichnął huk pierwszego wybuchu, znów nastąpiła nowa eksplozya. Po tym drugim urzędnicy, siedzący w karecie, porzucili worki z pieniędzmi i ratowali się ucieczką. Napastnicy zaś porwali worki i rozproszyli się z nimi w różne strony. Rozpoczęło się strzelanie przeciw powracającemu konwojowi. Ten, który zawładnął 368,000 rb., zdążył oddać je nieznajomej damie, która siedziała w prywatnym powozie i odjechała pędem. Napad i wybuch bomb trwały zaledwie 5 minut.

Zawiadomiona telefonem policya wysłała na miejsce wypadku oddział konnej straży, a jednocześnie pośpieszyła tam rota wojska. Rozpoczęła się uparta walka z pozostałymi napastnikami, której wynikiem było zabicie i ranienie kilku, aresztowanie czterech i odebranie worka z 3,600 rb. w złocie, oraz worka z papierami procentowymi. Jeden z uczestników napadu popełnił prawdopodobnie samobójstwo. Pędził on co sił. Na moście otoczyło go wojsko. Wówczas rzucił on wystrzelony rewolwer i sięgnął do kieszeni, poczem nastąpił głuchy trzask... Młody człowiek padł trupem, oblewając się krwią.

Jeden z uczestników napadu aresztowany, podczas badania miał oświadczyć: „Rewolucyoniści nie mają nazwisk, nazywają mnie Sergiuszem".

Birż. Wied. mówiąc o represyach, które nie przyniosły uspokojenia Królestwu polskiemu, piszą:

„Wypróbowano wszystkie środki, prócz jednego... Kiedy w Finlandyi sprawy przybrały obrót zastraszający, wtedy właśnie zastosowano ten środek: przywrócono porządek legalny, naruszony przez Bobrikowa, i na całej przestrzeni, od morza Bałtyckie-

go do stepów Azyi środkowej, niema dziś kraju spokojniejszego, niż Finlandya.

Gazety podają pogłoskę, że w wyższych sferach powstała myśl utworzenia w Polsce namiestnictwa. Istotnie, czyż nie czas wielki zastosować w Polsce ten sam środek, co w Finlandyi i przywrócić stary porządek, naruszony w tym kraju z mocy ukazu z dn. 17-go lutego 1832 r., a potem naruszany systematycznie w ciągu lat 75? czyż nie pora przywrócić krajowi jego ustroj autonomiczny, z którego korzystał na mocy aktu z r. 1815? przywrócić mu konstytucyę, która *de jure* nigdy nie była skasowana.

Pierwszym krokiem do przywrócenia porządku legalnego i uspokojenia kraju powinno być mianowanie namiestnika i zorganizowanie komisyi administracyjnej (miejscowych ministeryów) z grona osób miejscowych, przywrócenie urzędu sekretarza stanu do spraw Królestwa polskiego dla bardziej bezpośredniego zawiadamiania korony o sprawach kraju; drugim — zwołanie sejmu, nie zwoływanego od lat 75-ciu".

W dalszym ciągu autor rozwija myśl odłączenia zarządu armią, zgromadzoną na kresach zachodnich dla ich obrony od inwazyi cudzoziemskiej, od administracyi i wogóle władzy cywilnej.

„Jesteśmy pewni,—kończy—że przywrócenie porządku legalnego okaże się środkiem daleko skuteczniejszym, aniżeli wszelkie stany wojenne i dyktatury miejscowe. Przeszkodą do urzeczywistnienia tej myśli nie może być brak ludzi. Ludzie się znajdą".

Nowyj Put' pisze w jednym ze swych artykułów wstępnych:

„P. Stołypin w odpowiedzi na życzenie, wyrażone przez członka r. p. z gub. wileńskiej, p. Korwin Milewskiego, aby w Polsce w guberniach północno-zachodnich wprowadzono samorząd ziemski według ustawy z r. 1890, powiedział, iż w danym przypadku krępuje go pewna okoliczność, a mianowicie ta, iż ustawa rzeczona jest wielce niepopularna wśród społeczeństwa. Dlatego nie chciałby on brać na siebie inicyatywy w urzeczywistnieniu tak niepopularnego środka, lecz jeżeli rada państwa weźmie to na siebie, wtedy minister udzieli mu poparcia.

Rada państwa, jak wiadomo, wypełniła życzenie premiera, wierząc delikatności jego uczuć. Ale nas to oświadczenie p. Stołypina dziwi niepomiernie. Nam, członkom społeczeństwa, w chwili obecnej jest wprost niezręcznie myśleć, że urzeczywistniane są dziś tylko środki popularne. A przecież taki wniosek można wyciągnąć ze słów premiera.

Pozostawmy jednak nasze uczucia na boku i zapytajmy: w czem szukać należy przyczyny niepopularności ustawy 1890 roku?

Popierwsze, w tem poddaniu ziemstwa pod władzę administracyi, którego najgorszy objaw już utracił siłę po ukazie dnia 18-go października. Jak wiadomo wybrańcy włościan nie podlegają obecnie zatwierdzeniu gubernatorów. Druga przyczyna niepopularności ziemstwa jest jego charakter szlachecki, t. j. przewaga uczestników ze strony szlachty i większych właścicieli. Cóż zaś przeszkadza przy wprowadzeniu ustawy ziemskiej w guberniach zachodnich zmienić liczebny stosunek członków ziemstwa w tym sensie, aby demokracya odpowiednio była uwzględniona. Gdyby to uczyniono, niepopularna ustawa stałaby się odrazu popularną i skrupuły pp. ministrów upadłyby same przez się, bez konieczności obciążania dodatkową pracą pp. członków rady państwa.

KRONIKA

— Dn. 3 i 4 listopada Aleksander Świętochowski odczytał w Radomiu obie swoje prace „O prawach człowieka i obywatela" i „O prawach mniejszości". Licznie zebrana publiczność słuchała go w skupieniu myśli i natężeniu uwagi.

Sprawy polityczne i społeczne. Stosownie do wyjaśnienia ministeryum spraw wewnętrznych pełnomocnictwa i plenipotencye z poprzednich wyborów nie mogą być uważane za prawomocne dla następnych.

— Pracujący w instytucyach włościańskich nie mogą brać udziału w wyborach na zasadzie cenzusu otrzymywanego wynagrodzenia.

— Pomiędzy zalegającymi w opłacie podatków ziemskich jest wielu członków Rady państwa, senatorów, generałów, admirałów, generał-gubernatorów i gubernatorów. Na tych wszystkich okólnik ministra spraw wewnętrznych, nakazujący energiczne ściąganie zaległości, zrobił silne wrażenie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych uzyskało dodatkowy kredyt w sumie pół miliona na organizacyę wyborów. Na ten sam cel przed pierwszymi wyborami wyasygnowano również 500,000 rb.

— Jak donoszą gazety rosyjskie, partye umiarkowane w Rosyi pracują energicznie nad utworzeniem bloku wyborczego.

— Grupa radnych m. Moskwy, należących do partyi lewych, zamierza wnieść skargę do senatu za wyłączenie ze składu radnych Muromcewa, Komissarowa i Lebiediewa, którzy podpisali odezwę wyborską.

— W Wilnie powstał projekt założenia polskiego Towarzystwa przyjaciół Nauk dla badania przeszłości i obecnego stanu kraju pod względem etnograficznym, historycznym i prawnym.

— Podobno proces przeciw ks. Urusowowi, Maksymowi Kowalewskiemu i Kuzmin-Karajewowi b. posłom do Dumy za podpisanie odezwy wyborskiej ma być umorzony z tej racyi, że oni jej nie układali, lecz tylko telegraficznie swój podpis przesłali.

— *Strana* wyjaśnia, że postanowienie Stołypina co do sądów polowych nastąpiło na skutek kategorycznego oświadczenia członków Rady państwa, że nie aprobują takiej działalności tych sądów.

— *Birż. Wied.* donoszą o projekcie nowego komunikatu rządowego, w którym ma być powiedziane, że Duma zbierze się nie dlatego, „żeby reakcya nie miała dość siły dla odroczenia zwołania nowego parlamentu, zmiany formalnej prawa wyborczego", lecz dlatego, że zwołanie Dumy jest niezłomną wolą Cesarza. Walka prowadzona przez rząd jest wymierzona wyłącznie przeciw rewolucyonistom.

— Wszechświatowa organizacya syonistów postanowiła wybudować w Palestynie dom dla dzieci żydowskich, które straciły rodziców podczas pogromów.

— Przedstawiciele gminy żydowskiej w Nowym Yorku mieli się zwrócić do działaczy żydowskich w państwie rosyjskiem z prośbą, żeby powstrzymali dalszą emigracyę żydów do Nowego Jorku, ponieważ jest ich tam już zadużo.

Zaburzenia i zamachy. Z Rygi donoszą, że policyi tamtejszej udało się dostać listę anarchistów, z których czterech zatrzymano i dowiedziano się od nich nazwisk i adresów pozostałych.

— W Kijowie 625 uczniom szkoły dentystycznej, prawie wyłącznie Żydom, kazano opuścić miasto.

— W Łodzi, do robotników, wychodzących z fabryki Osera, jacyś ludzie dali kilkanaście strzałów. Trzech [illegible]

— Dn. 1 listopada na rogu ul. Kruczej i Wilczej w Warszawie dano strzał z rewolweru do p. o. naczelnika zarządu gubernialnego żandarmów, podpułkownika Pochłowskiego. Strzał chybił. Za sprawcami puszczono się w pogoń i wszystkich trzech ujęto.

Aresztowania i kary. *V. Zeit* otrzymał list od jednego z zesłańców w Hadnikowie, w gub. Wołogodzkiej, donoszący, że w mieście tem znajduje się 6 stolarzy zesłanych z Warszawy, którzy otrzymywali na życie początkowo 2 rb. 70 kop. miesięcznie, z czego musieli opłacać komorne jeszcze. W ostatnim miesiącu dano im 7 rb. 70 kop. i 10 rb. na ubranie, a byli już dawno bez ciepłej odzieży i bez butów.

— Izba sądowa w Grodnie skazała agenta białostockiego wydziału ochrony Szlechtera, za rzucenie bomby na komisarza Samsonowa, na 10-letnie ciężkie roboty, Grunberga na 8 lat, Berelgen został uniewinniony.

— Z cytadeli uciekł więzień, którego razem z innymi więźniami prowadzono po wodę. Więzień ten miał być oddany pod sąd wojenny.

— Z powodu napadu na pocztę, idącą z Lipna do Włocławka, aresztowano już podobno 10 osób, przeważnie robotników tamtejszych fabryk.

— Przed sądem stanęli redaktorowie i wydawcy *Życia Gromadzkiego* za wydrukowanie opowiadania Reymonta „Matka" i korespondencyi z Koziennickiego o znęcaniu się policyi i wojska nad chłopami polskimi i nakładaniu na Polaków podatków większych niż na Rosyan. Sprawa została odroczoną.

— W Lublinie aresztowano 40 robotników fabryki Kona a 18 fabryki Wolskiego.

— W Rydze z wyroku sądu polowego rozstrzelano przywódcę „Braci leśnych" Auskula.

— Sądzony przez sąd polowy w Częstochowie, oskarżony o zamach na życie policyanta Stefan Gołygowski, został dla braku dowodów uniewinniony.

— W Lublinie rozstrzelano 25-letniego Władysława Michalaka, za rabunek i zabójstwo.—W Kielcach powieszono włościanina 24-letniego Kazimierza Łyżwę za zabicie leśniczego Kobaly.

— Sąd wojenny warszawski skazał Romana Marcińskiego na 20 lat ciężkich robót za napad na monopol i zranienie strażnika.

— *Strana* donosiła, że od dnia 30 października r. 1905 do dn. 14 z. m. w drodze administracyjnej wysłano na Syberyę 35,000 osób; do Narymskiego kraju i guberni Tomskiej wysyłani są na skutek kaprysu władz ludzie nieszkodliwi na pewną śmierć.

— Z więzienia Akatujewskiego uciekł więzień Gerszuni, skazany na śmierć w r. 1900 a potem ułaskawiony i zamknięty w Szlisselburgu. W Akatujewie był od kilku miesięcy. Uciekł przy pomocy towarzyszów. Wywieziono go w beczce do wożenia wody.

— W ciągu sierpnia r. b. w cytadeli warszawskiej więziono ogółem 18,117 więźniów. W lazarecie w tymże czasie leczyło się 1,128 chorych.

— Ośm osób aresztowanych wskutek zrabowania pieniędzy rządowych na Fonarnym zaułku w Petersburgu zostało skazanych przez sąd polowy na karę śmierci. Wyrok niezwłocznie wykonano.

Bandytyzm. Dnia 5 b. m. w pobliżu bramy domu Nr. 17 przy ul. Fabrycznej kilku zbrodniarzy zamordowało w ohydny sposób urzędnika kolejowego, Józefa Młockiego, człowieka wysokiej wartości moralnej i społecznej. Mordercy iście zasypali go kulami. O tej niesłychanie bezecnej zbrodni napiszemy obszerniej po większem ustaleniu się okoliczności i wywołanych przez nie domysłów.

— Włościanie ze wsi Sosnówka, w gub. Kijowskiej pobili 6 złodziejów i uchwalili wysiedlenie ich z miejsca.

— W okolicy Sulejowa w piotrkowskiem 17 uzbrojonych bandytów napadło na młyn Pila. Zmusiwszy rewolwerami oczekujących na mąkę ludzi do milczenia, zabrali właścicielowi, Konopackiemu, 1000 rb. Miedź, której była duża ilość, chcieli rozdzielić między służbą, ale dowiedziawszy się od niej, że jest z zapłaty zadowoloną, zostawili p. K. Tego ostatniego i jego buchaltera zmusili pójść z sobą do księdza we wsi Dąbrowa. Gdy ksiądz, słysząc znajomy głos, otworzył, wdarli się do mieszkania i z rewolwerami zażądali pieniędzy. Ksiądz oddał 180 rb. i zażądał pokwitowania, oświadczając, że są to pieniądze kościelne. Obiecali mu je przysłać z Warszawy, gdzie ich partya jakoby P.P.S., ma siedzibę. Z plebanii udali się do poblizkiego młyna Ruda-Papiernia. Tu syn właściciela Ejzenstein ranił jednego z bandytów wystrzałem z rewolweru i ukrył się. Bandyci zato ojca jego pobili bardzo ciężko a 7 letnią siostrę ranili śmiertelnie. Zabrawszy 300 rb. kazali się odwieźć dwoma wozami, przyczem syna Ejzensztajna i buchaltera wzięli jako zakładników. W lesie pod Piotrkowem wysiedli, puszczając zakładników.

— W kancelaryi szkoły realnej w Władykaukazie ograbiono sekretarza z gotówki około 4,000 rb. przeznaczonych na wypłatę. Jeden z rabusiów, Paszkowski, okazał się uczniem tej szkoły; trzej inni zbiegli.

— Około Jurjewa napadnięto na inkasenta sklepów monopolowych i zabrano mu 10.000 rb.

— W Warszawie, do mieszkania akuszerki przy ulicy Śliskiej, przyszło 4 ludzi w mundurach policyj-

nych i zaczęli robić rewizyę, ale otrzymawszy 6 rb. oddalili się. Zachowanie się ich wzbudziło podejrzenie i rzeczywiście w wydziale śledczym sprawdzono, że mniemani policyanci byli wypuszczonymi na wolność bandytami, którzy w tem przebraniu dokonali całego szeregu grabieży. Wszystkich ujęto i osadzono po raz wtóry.

— W pow. Opatowskim około 40 bandytów napadło na dwór w majątku L. Baczyńskiego. Strzelając z rewolwerów wtargnęli oni do mieszkania i zagroziwszy panu B. śmiercią zabrali mu 300 rb.

Sprawy szkolne. Dyrektor szkół ludowych rozesłał cyrkularz, zawiadamiający o zniesieniu kary za nauczanie w języku polskim.

— Zebranie członków Związku akademistów w Petersburgu potępiło postępowanie Rady starostów i postanowiło w żadnym wypadku nie zawieszać wykładów. Tymczasem zebranie studentów, liczbą dochodzące do 4,000, wyraziło zupełną solidarność ze starostami.

— Studenci uniwersytetu moskiewskiego zamierzają starać się usilnie o usunięcie wszelkich starć i powikłań, które mogłyby stać się przyczyną zamknięcia uniwersytetu.

— Kobiety otrzymały prawo wykładania języków nowożytnych nietylko w niższych, lecz i w wyższych klasach średnich zakładów naukowych.

— Podobno sprawa wszystkich wyższych zakładów naukowych w Królestwie polskiem została na prośbę Stołypina odłożona do Dumy Państwowej.

Wiadomości naukowe. Badacz stref podbiegunowych Robert Perry powraca, dotarłszy do 87,6 stopnia szerokości północnej, a więc nie do samego bieguna. Posunął się jednak dalej, niż ktokolwiek dotychczas. Wyprawę zatrzymała otwarta przestrzeń wodna i burza, która odrzuciła dwa jej oddziały na północny brzeg Grenlandyi, gdzie zostały odnalezione w stanie rozpaczliwym.

Odczyty. Muzeum przemysłu i rolnictwa wzorem lat poprzednich urządza szereg odczytów z dziedziny nauk przyrodniczych. Skutkiem lepszego przygotowania słuchaczów, poziom odczytów może być wyższy w tym roku. Odbywać się one będą, z dn. 8 listopada począwszy, we wtorki, czwartki i soboty. Bilety od 75 kop. 50, 30, 20, 10 w abonamencie na wszystkie 17 kosztować będą o 20% taniej. Nabywać je można wraz z programami odczytów w kancelaryi Muzeum.

Prasa. Na 21 listopada wyznaczona jest sprawa Wodowozowa, redaktora *Naszej Żizni* oskarżonego o obrazę wojsk konsystujących w Królestwie polskiem przez zarzucanie im okrucieństwa. Wodowozow w liście wystosowanym do redaktora *Słowa* zwrócił się do przedstawicieli społeczeństwa polskiego o poparcie sprawy jego przez dostarczenie sądowi odpowiednich dowodów jej słuszności.

Wiadomości ekonomiczne. Podług raportu kontroli państwa budżet na r. 1905 przedstawia się następująco: Dochodów zwyczajnych wpłynęło 2,024,558,452 rb. wydatkowano 1,925,176,047 rb; nadzwyczajnych dochodów wpłynęło 793,515,197 rb, zaś wydatków nadzwyczajnych uskuteczniono rb. 1,279,576,862 rb. Zaliczono do środków skarbu zamkniętych kredytów z lat dawnych w budżecie zwyczajnym 19,102,582 rb. a w nadzwyczajnym 15,256,841. Po przyłączeniu do wydatków skarbu pozostałości zamkniętych budżetów z lat dawnych, otrzymujemy deficyt w kwocie rb. 215,010,037. Przewyżka wydatków nad dochodami wynosiła 158,000,000 rb. Deficyt ten pokryty został z pożyczki 5% zaciągniętej w r. 1906. W stosunku do przewidywanego deficytu rb. 180,000,000 deficyt rzeczywisty za rok ubiegły jest o 22,000,000 mniejszy.

— Główny zarząd dochodów niestałych zmniejszył zapomogę dla kuratoryów trzeźwości na rok 1907 o 800,000 rb.

Koleje i komunikacye. Pracownicy kolei warsz.-wiedeńskiej założyli Towarzystwo wzajemnej pomocy naukowej pod tytułem „Jedność“ które ma na celu dostarczenie swym członkom wszelkich środków kształcenia tak im samym, jak ich rodzinom. Członkiem Towarzystwa może być każdy pracownik lub pracowniczka kolei warsz.-wiedeńskiej, pozostający w służbie czynnej.

— Na konferencyi opałowej minister komunikacyi, Miasojedow-Iwanow oświadczył, że koleje wskutek niedostatecznego taboru ruchomego nie mogą wykonać żądań przemysłu i handlu.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. J. Szumowi w Paryżu. Sprawozdań z wystaw zagranicznych nie pomieszczamy. Rękopis do zwro- [illegible]

OFIARY.

Do rozporządzenia p. Al. Świętochowskiego N. N. rb 40. Bracia Jabłkowscy rb. 10.

Wydawca: Paulina Sieroszewska. Redaktor: Władysław Bukowiński.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.